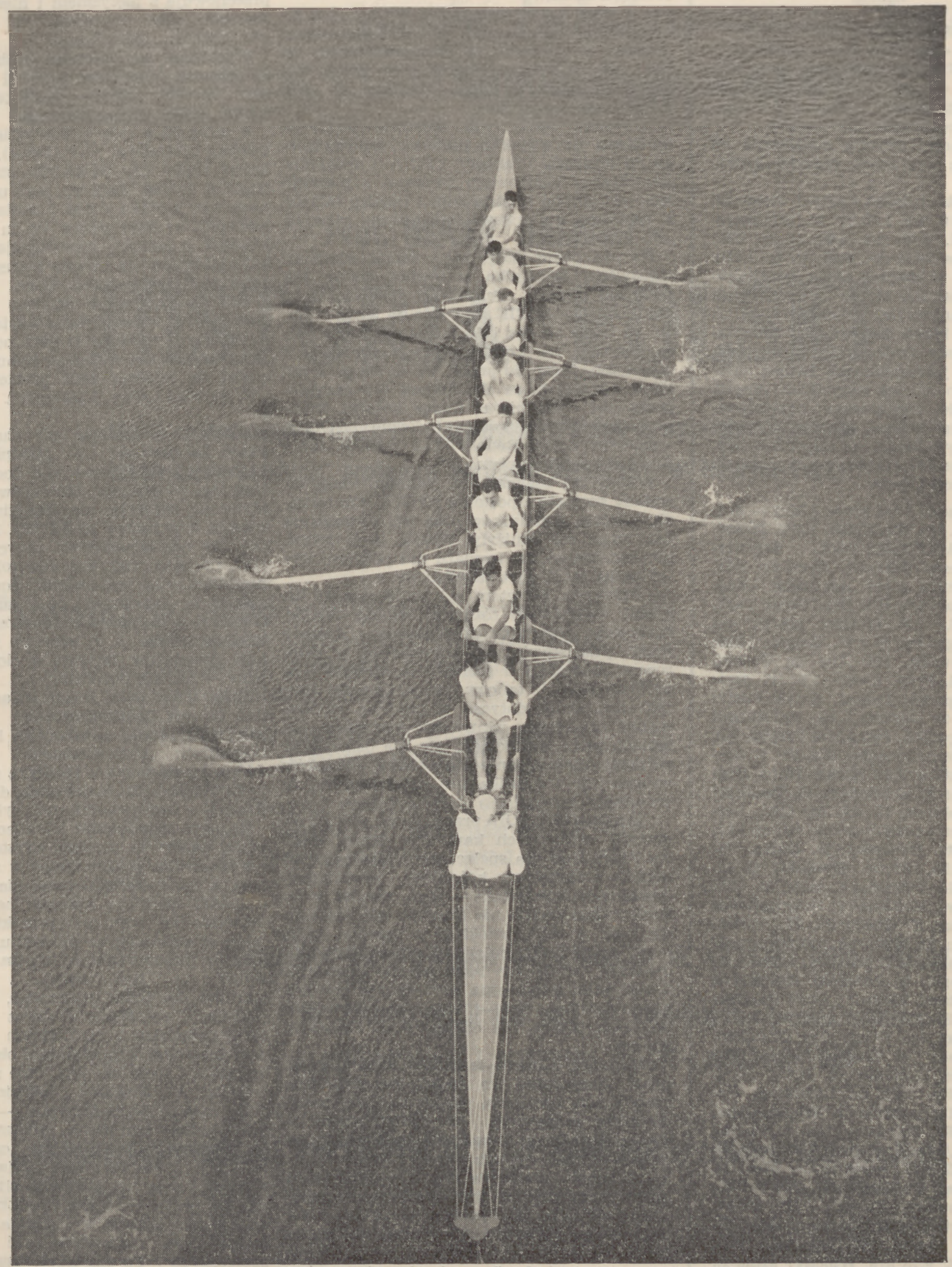
ŻYCIE

ROK — NR 14 (511) NIEDZIELA, 7 KWIETNIA 1957. CENA 1/6



W 103 zawodach wioślarskich pomiędzy Oxford i Cambridge wygrał poraz 57 Cambridge.

ŻYCIE

ROK XI NR 14(511)

Niedziela, 7 kwietnia 1957 r.

Wydaje:

KATOLICKI OSRODEK WYDAWNICZY „VERITAS", — 12 Praed Mews, London, W.2.
Telefony: AMBassador 6879; PADdington 9734

Redakcja: Godziny przyjęć codziennie z wyj. sobót, niedziel i świąt g. 3 - 4 pp. Redakcja rękopisów nie zwraca.

Administracja: Czynna codziennie od 9-12 i 2-5 z wyj. sobót, niedziel i świąt.

Prenumerata (płatna z góry): miesięcznie: szyl. 6/6, dol. 1.10, fr. fr. 330; kwartalnie: szyl. 19/6, dol. 3.00, fr. fr. 975; półrocznie s. 39/-, dol. 6.00, fr. fr. 1.950. **Wpłaty:** a) **w krajach bloku szterlingowego:** Postal lub Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego:** International Money Orderami lub zwykłym przekazem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) **we wszystkich innych krajach:** do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym wprost do Administracji „Życia".

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez 1 łam — £ 1, dol. 3.00, fr. fr.1.000. Kolor. 100% drożej.
PRZEDSTAWICIELSTWA: Argentyna: „Libreria Polaca", Serrano 2076, piso I, Buenos Aires. **Australia: „Społem",** 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S.A.; **R. Treister,** 138 Burton St., Darlinghurst, N.S.W. **Belgia: Mme E. Kułakowska,** 129 Rue du Cornet, Bruxelles 4. Pren. kwart. 130 frs. **Brazylia: Książnica Polska,** Caixa Postal 5201, Rio de Janeiro; **ks. dr Antoni Łatka,** Praça Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo. **Dania: Ks. O. J. Szymaszek,** Skt. Annae Kirke, Hans Bogbinders Alle 2, Kobenhavn S. **Francja: Ks. K. Stolarek,** 29 Av. du Gen. Leclerc, La Ferté-sous-Jouarre, (S. et M.), CC 5 603 40. **Holandia: B. Galas,** Fagelstraat 15A, Breda. **Kanada: Canadian Mosaic Publishers,** Suite E, 4118 Western Av., Montreal 6; **International Book Service,** 57 Queen St. W., Toronto. **Niemcy: St. Mikiciuk,** Gablonzerstr. 7/I, (13b) München 45. Pren. kwart. 10 MD. **Norwegia: B. Łubiński,** Kongesgat 2, Moss. **Stany Zjedn.: „Gryf Publication",** 296 Sheridan Av., Albany, N.Y; **M. Kijowski,** 380 North Av., Dunellen. N.J.; **„Pomoc" — Eksport-Import,** 761 Filmore Ave., Buffalo 12, N.Y.; **S. J. Rozmysłowicz,** 5718 St. Lawrence, Detroit 10, Mich.; **Mme J. Stojanowska,** 424 Ave. „E", Bayonne, N.J.; **Veritas Americana,** 134-09 Cherry Ave., Apt. 3B, Flushing 55, N.Y. **Szwajcaria: Mme B. Gierszewska,** Wallisellenstr. 483, Zurich, konto pocztowe: Zurich VIII 50734. Pren. kwart. 9.00 fr. **Szwecja: Mgr. B. Kurowski,** Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 9.75 krs. **Włochy: Mme Z. Bulhak-Jelska,** via Salaria 300 C Roma.

LISTY DO REDAKCJI

O DAWNYM I NOWYM „ŻYCIU" I FELIETONIE „SZLACHTA"

Szanowny Panie Redaktorze!

Dawno zamierzałem napisać do Pana w związku z niefortunną, moim zdaniem, reformą ŻYCIA...

...A więc — najpierw szata zewnętrzna. Piszę szczerze to, co czuję: jestem czytelnikiem ŻYCIA od początku, a prenumeratorem od paru lat. Z dawnym tygodnikiem byłem tak zżyty, że często w domu mówiłem, że „bez ŻYCIA nie ma życia"...

...Trudno sobie było odmówić pięknego, trudnego, na wysokim poziomie, zmuszającego do myślenia i lektury ŻYCIA z epoki dużej płachty gazetowego formatu, z niewielu lecz poważnymi ilustracjami i między innymi z aktualną i poważnie redagowaną rubryką „Po łepkach".

Format pisma staje się, moim zdaniem, własnością czytelnika w równej mierze jak kierunek i treść. Prawdziwy miłośnik pism tego typu co ŻYCIE przywiązuje się nie tylko do treści — lecz i do formatu. Poważnych periodyków nie czytuje się w autobusach i wagonach, jadąc do pracy. Czyta się je w zaciszu domowym, ze słownikiem lub encyklopedią pod ręką, nieraz robiąc notatki. Przynajmniej tak czytywałem dawne ŻYCIE i wdzięczny byłem Redakcji za poziom ton i szatę zewnętrzną pisma.

Trudno mi osądzić co skłoniło Pana do zmiany formatu i poziomu ŻYCIA. Nie sądzę, aby poziom czytelników oraz ich wymagania tak nagle się obniżyły. Wszak inne pisma, nie zmieniając ani formatu ani poziomu treści wciąż mają zbyt zapewniony...

...Przykrym zgrzytem był widok okładki nr. 9(506) niczym nie różniącej się od okładki brukowego tygodnika angielskiego „Picture Post", przedstawiającej komedianta w kolorowym smokingu z gitarą. Rozumiem, że problem dzikich tańców, barbarzyńskiej muzyki itp., skoro dotyczą w pewnym stopniu naszej młodzieży, winny być poruszane na łamach pism katolickich. Ale nie oznacza to potrzeby umieszczania na okładce obrazków związanych z notatką lub artykułem na te tematy...

...Na okładce ŻYCIA pragnąłbym widzieć podobizny zasłużonych kapłanów, sceny z życia religijnego lub społecznego, wizerunki zabytków architektury kościelnej, reprodukcji poważnych dzieł sztuki — tego przecież w tekach redakcyjnych nie braknie. Ale jazzbandy, rock n' rolle, smokingi w szkocką kratę — to dobre dla popularnych tygodników angielskich. Myślących ludzi to nie interesuje, a jeśli istnieje społeczna konieczność poruszenia takich tematów — wystarczy omówienie w tekście pisma, bez obrazków na czołowym miejscu.

Wewnątrz numeru także za wiele jest aktorek, sportowców itp rzeczy, zupełnie zdaniem moim zbędnych, nadających się raczej do prasy codziennej. W ŻYCIU szuka się spraw poważnych i ważnych, których w popularnej prasie nie ma.

Być może obniżenie lotu i popularyzacja pisma podyktowane były względami natury „kasowej" albo chęcią jego rozpowszechnienia. Ale czy warto było likwidować tak piękne pismo nawet za cenę zyskania pewnej liczby prenumeratorów? I czy koniecznie musimy przyjmować zmiany i formy zewnętrzne od innych tylko dlatego, że rozpowszechniają się one na Zachodzie? A cóż jeśli ów Zachód ubożeje, wulgaryzuje się, obniża? Czy także trzeba przechodzić na format „wagonowy" z Bill Halleyem na okładce? Czy nie lepiej utrzymać poziom i format wbrew „zachodnim" nowinkom i nie marnować bezcennego dorobku szeregu lat?

Osobiście nie zdjąłem jeszcze duchowej żałoby po śmierci dobrego przyjaciela, jakim było dawne ŻYCIE. Brak mi tego tygodnika bardzo, dom mój zubożał od chwili likwidacji tego doskonałego pisma. Stare egzemplarze przechowuję z pietyzmem i nieraz z nich korzystam, gdyż materiały w nim zawarte nie tracą na aktualności.

Wycofanie się Polonusa pozbawiło nas jego cennych felietonów. Zniknął też Frankowski. W ogóle zmiana charakteru ŻYCIA to strata wielka, niepowetowana.

A teraz parę słów o felietonie p. J. B. pod tytułem „Szlachta" (nr 11(508). Dyskusje na temat takiej czy innej roli stanu szlacheckiego w dawnej Rzplitej, jego udziału w wojnach itp. z braku czasu pozostawiam innym. Najlepiej by było, gdyby się tu wypowiedział historyk o pełnych kwalifikacjach, w sposób autorytatywny. Ja pragnę poruszyć tylko niewiele punktów, a mianowicie:

Tak się składa, że polskim zagadnieniom społecznym, jak też zagadnieniom społecznej struktury w ogóle, musiałem poświęcić nieco uwagi. Ale konia z rzędem temu, kto mi udowodni, że istnieje jakiś problem szlachecki, i to do tego „żywy i jątrzący". Nic podobnego.

Autor coś pomieszał, gdy chodzi o „dodawanie do nazwisk" i „podpisywanie się". Herbów się do nazwisk nie dodaje, ani się nimi nie podpisuje. Mało poważne wyjątki, gdyby się zdarzyły, nie zasługiwałyby aż na felieton tygodniowy w ŻYCIU. Po prostu byłoby to odpowiednikiem innych snobistycznych posunięć (np. syn małorolnego lub rzemieślnika, sam rzemieślnik, podający się za granicą za „landlorda" itp.). Autorowi chodzi widocznie o przydomki, stanowiące część składową nazwiska. A to zupełnie inna historia. Jeśli przydomek figuruje w dowodzie osobistym — nic nie poradzimy.

Autor mówi dalej o indygenacie. Zdaje się, że i tu jest nieporozumienie. Indygenatem zwie się nadanie szlachectwa i praw z nim związanych cudzoziemcowi. Uszlachcenie chłopa, mieszczanina, żołnierza z tych warstw pochodzącego, itp. należącego do narodu polskiego — indygenatem nie było.

Na ogół zagadnienie szlachectwa i herbów uznać należy za problem czysto historyczny, bez znaczenia praktycznego w życiu codziennym, a już w żadnym razie nie jątrzący... O lepszości decyduje kultura, uczciwość i zachowanie się. Jeśli przy tym ktoś pamięta o swym szlacheckim pochodzeniu, uznaje tego rodzaju imponderabilia, uważa że „noblesse oblige" — tym lepiej...... ...Natomiast szacunek dla godła rodzinnego, byle nie uzurpowanego, ewentualnie nawet noszenie sygnetu, połączone z normalnym zachowaniem się i uczciwym wypełnianiem obowiązków wobec Boga i ludzi nie jest i nie może być niemoralne. A już zarzut „jaskiniowości", pomijając nieścisłość historyczną — ludzie jaskiniowi sztuki rzeźbienia precyzyjnego w złocie i kamieniu nie znali — ośmiesza autora, który wyraźnie cierpi na jakiś kompleks. Wyrazem tego jest głoszenie alternatywy „jeżeli już herby — to dla wszystkich Polaków". Zapewniam autora, że noszenie sygnetów nie będzie nigdy „zarzewiem tarć i przewrotów społecznych". Tu już autor przesolił. W Anglii, gdzie istnieje oficjalnie szlachectwo, he-

(Dokończenie na str. 4)

PUNKTY WIDZENIA

POLSKA W ŚWIECIE

W tych dniach miałem w ręku gruby tom tekstu i ogłoszeń, w którym zebrane zostały zapowiedzi książek, mających wyjść w Wielkiej Brytanii w najbliższych sześciu miesiącach. Jest to tom o blisko tysiącu stronach, a ilość pozycji przekracza dobrze liczbę dziesięć tysięcy. Już tylko przejrzenie tego index librorum jest dużym wysiłkiem.

Dopiero przyjrzenie się tej ilości tytułów w jednym rzucie pozwala ocenić, jaką rozpiętość tematów, od wszystkich, najbardziej aktualnych do najbardziej specjalnych, pokrywa półroczna produkcja tego kraju, co prawda, takiego kraju jak Wielka Brytania. I wtenczas dopiero w całej jaskrawości staje przed oczyma owa teoretycznie znana prawda, jak mały ułamek ukazujących się na świecie książek każdy z nas zdolny jest przeczytać. Ułamek, zaiste, bardzo drobny.

Ale nie to chciałem tu podkreślić. Chodzi mi w tej chwili o odkrycie, jakiego przy tej okazji dokonałem, że w ciągu takich sześciu miesięcy ukazuje się na półkach księgarskich duża liczba książek związanych bardzo blisko z tematami polskimi. Oczywiście, książek, w w których marginesowo, czy ogólnie, poruszone są sprawy polskie, jest daleko więcej. Potężną grupę w zapowiedziach stanowią książki polityczne, a wśród nich wiele omawia problemy terenu, na którym żyje, pracuje i walczy naród polski.

Jest jednakże sporo książek bliżej z tematami polskimi związanych. Nawet gdyby się nie miało doświadczeń i spostrzeżeń innych, analizując tego rodzaju spis książkowy można by obserwować, jak sprawy polskie — wydaje się coraz bardziej — nasączają ogólnoświatowe prądy tematyczne i myślowe. Weźmy choćby jeden z tego zakresu przykład. Wielkie wydawnictwo angielskie „Oxford University Press" puszcza na rynek księgarski świata, mówiącego językiem angielskim, książkę wielkiego uczonego polskiego, jednego z największych logistyków współczesnych, niedawno zmarłego profesora uniwersytetu w Dublinie, Jana Łukasiewicza. Dzieło nosi tytuł „ARISTOTLE'S SYLLOGISTIC from the Standpoint of Modern Formal Logic" („Sylogistyka Arystotelesa z punktu widzenia współczesnej logiki formalnej") i wychodzi w tej chwili już w wydaniu drugim. (Aby dopowiedzieć już wszystkie informacje, trzeba dodać, że jest to potężny tom o kilkuset stronicach i będzie kosztował 30 szylingów.)

Jest to wyjątkowy co do ciężaru gatunkowego przykład, ale jeden spośród wielu, jeśli chodzi o liczbowe zestawienie tematów polskich. Zrobimy w najbliższym czasie wysiłek, aby na łamach ŻYCIA dawać zestawienia najważniejszych książek poruszających tematy polskie w bieżącej produkcji wydawniczej Wielkiej Brytanii. Powinno się właściwie zestawienia takie dawać ze wszystkich większych piśmiennictw świata: francuskiego, amerykańskiego, niemieckiego, włoskiego, hiszpańskiego, z piśmiennictw południowej Ameryki. Czy to ktoś w sposób metodyczny i naukowy robi? Pytanie jest retoryczne i zarazem melancholijne, bo najprawdopodobniej wśród tysięcy instytucji, związków i towarzystw, w Kraju i na emigracji, nikt tego systematycznie nie robi.

Wydaje mi się, że ten brak trzeba jak najszybciej usunąć. Nie jest to wcale rzecz taka ponad siły, zwłaszcza dla emigracji. Na początek starczyłoby zupełnie kilku czy kilkunastu prywatnych zapaleńców (iluż jest takich właśnie na emigracji, nie zawsze wybierających bardzo przekonywujące co do pożytku hobby!). Znajdujemy się przecież w głównych krajach świata w pokaźnej liczbie. Niech się w takich cząstkach diaspory polskiej zabierze do przeglądania katalogów i list zapowiedzi nowych książek, jedna, dwie osoby, a „całość sama się złoży". Jeśli te słowa dojdą do osób, jakie mam w tej chwili na myśli, i jeśli zostaną one poruszone samym projektem, prosimy — łamy ŻYCIA są otwarte do systematycznego druku spisów i zestawień!

Ta sprawa tematów polskich w książkach zagranicznych odnawia we mnie spostrzeżenie, które od pewnego czasu przeradza się w niezbitą pewność. Trzeba będzie ten temat kiedyś szerzej rozwinąć, ma on bowiem znaczną dla życia polskiego wagę, dziś może warto choćby go tylko zarysować.

Przebywam poza Krajem prawie osiemnaście lat, z tego wśród społeczeństwa brytyjskiego piętnaście. Przez cały czas, oczywiście, obchodziła mniej najżywiej sprawa stosunku obcych do Polski, notowanie niejako waloru polskiego na giełdzie światowej. Mam pewność, że się nie mylę, gdy stwierdzam, że ten walor bezustannie od roku 1939 idzie w górę. We wrześniu owego tragicznego roku strzelił wysoko w świadomości ogólnej i trwał ze zmiennym nasileniem przez pięć lat. Ale, mimo iż było to wzniesienie znaczne, zbyt było hieratyczne i krwią opłacone, aby można je uważać za zjawisko stałe.

Wyjątkowa rola Polski w krwawym kurzu ostatniej wojny dała początek zainteresowaniom mającym jednak cechy stałe, a nawet bezustannie wzrastające. Z kraju odległego, zagubionego gdzieś w dzikich krajobrazach i złych drogach, z kraju dalszego dla Anglosasów niż powiedzmy Burma i Celebes wydawać się im może, stała się Polska krajem bliższym, przybliżonym przez ludzi, których się spotkało, z którymi się spędziło jakieś week-endy, wieczory przed kominkami, z którymi się pełniło służbę wojskową, których reakcje sprawdziło się w doświadczeniach. Jest ten temat polski dla Brytyjczyka zupełnie czymś innym obecnie niż był osiemnaście lat temu.

Trzeba otwarcie powiedzieć, że impulsy tego zainteresowania idą i drugą, szerszą drogą. Anglicy śledzą bacznie losy narodu polskiego w jego obecnych zmaganiach się. Głęboko wdrożone w duszę angielską poczucie winy wobec Polski i jej sąsiadów każe tym pilniej śledzić, co się na tym terenie dzieje, a ostatnie zdarzenia w Polsce zainteresowania te podsycają. Ale i ta sprawa wymaga dokładniejszego przeanalizowania i omówienia.

J. K.

raldia, nadawanie tytułów itp. — przewroty idą ewolucyjnie w kierunku radykalnym, demokratycznym, poprawiającym losy świata pracy. A tu nagle fakt noszenia przez paru starszych panów pierścienia z kamykiem ma wstrząsnąć posadami społeczności polskiej!

A rzekomy konflikt między miłością do swego herbu i narodu? Skąd się ten koszmar autorowi bierze? Można kochać na równi, i trzeba, i naród i swoją rodzinę (i herb, jeśli się ma i o nim pamięta) i swój stopień naukowy czy zawodowy, i swoje meble, i ogródek, i książki, i doniczki z kwiatami, i pieska, i nocne pantofle. I fajkę, i stary kapelusz, i parasol. Bo to wszystko razem składa się na pojęcia domu — narodu — ojczyzny, i im prędzej to zrozumiemy, tym lepiej. Natomiast trzeba wybrać między felietonem dobrym a złym, pożytecznym, a zbędnym, rozumnym a mniej udanym. Zwłaszcza, gdy cena pisma wzrosła — a wartość jego i forma podupadły. Ale, że cierpliwość jest cnotą — zaczekamy z wyborem. Może się w nowym ŻYCIU coś odmieni. Życzę tego serdecznie i łączę wyrazy poważania

Michał Zawadzki
szlachcic h. Jastrzębiec —
b. szeregowiec W. P., magazynier za £ 8.11.0.,
co jedno drugiemu absolutnie nie przeszkadza, a raczej często pomaga. Aha — i ojciec 4 dzieci! I to szlachciców po mieczu i po kądzieli.

RÓŻNE

MANIFESTACJA NA RZECZ KOŚCIOŁA MILCZENIA

Na zarządzenie katolickich władz angielskich odbędzie się w Londynie w najbliższą niedzielę, 7 kwietnia milczący pochód-modlitwa na rzecz Kościoła Milczenia, a więc głównie Polski.

Wzywamy wszystkich Polaków (tylko mężczyźni) do wzięcia udziału w tej manifestacji katolików angielskich. Pochód wyruszy o godz. 3 po poł. z Hyde Parku (naprzeciw Grosvenor House przy Park Lane) i przejdzie ulicami miasta do katedry westminsterskiej, gdzie arcybiskup Godfrey udzieli zgromadzonym błogosławieństwa. W czasie pochodu uczestnicy manifestacji będą odmawiać Różaniec w intencji krajów Kościoła Milczenia.

Tego samego dnia na Sumie w katedrze westminsterskiej o godzinie 10.30 arcybiskup Westminsteru J. E. ks. William Godfrey wygłosi kazanie o Kościele Milczenia.

REKOLEKCJE W DERBY

Rekolekcje parafialne w Derby odbędą się w dniach 3, 4 5 i 6 kwietnia w kościele St. Marys, Bridge Gate dla Polaków z Derby i okolicy. Nauki rekolekcyjne w tych dniach o godz. 8.15, spowiedź w sobotę 6 kwietnia od godz. 3 do 5 i od 6 do 9. Spowiedzi słuchać będzie kilku księży polskich. Wspólna Komunia św. na polskiej Sumie w niedzielę 7 kwietnia o godz. 12.15 w St. Marys.

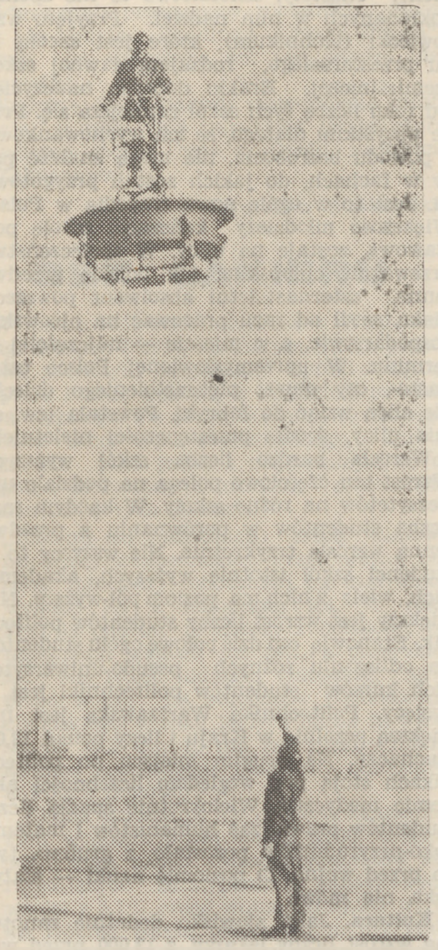
SPROSTOWANIE

W nrze 13/520 ŻYCIA chochlik drukarski spłatał przykrego figla. W artykule T. Gajowego pt. „Przestępczość dzieci i młodzieży" na str. 13, w szpalcie pierwszej, wiersz tekstu 17-ty — zwrot w nawiasie „zmarła niedawno", po nazwisku Klary Booth-Luce, jest oczywiście niepotrzebny. Pani Luce żyje i cieszy się dobrym zdrowiem. W nrze 2/499 z roku bieżącego dawaliśmy jej zdjęcie, uchwycone w chwili, gdy odjeżdżając do Ameryki, żegnała swoich rzymskich przyjaciół. Życząc Pani Clare Luce jak najdłuższych lat życia, przepraszamy Ją i Czytelników za tę pomyłkę **Red.**

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

ROK XI — NR 14(511) LONDYN, NIEDZIELA, 7 KWIETNIA 1957



Wynalazki techniczne następują obecnie tak szybko po sobie, że prasa ledwie nadąża je odnotowywać. Armia Stanów Zjednoczonych zamówiła dwa nowe prototypy „latających platform", które w tej chwili odbywają swe próbne loty w fabryce helikopterów Hillera w Palo Alto w Kalifornii. Posiadają one motory dające maksimum równowagi i bezpieczeństwa przy pionowym wznoszeniu się.

W BIEŻĄCYM NUMERZE:

ŻYCIE KRAJU

CYFRY MÓWIĄ ... PÓŁGĘBKIEM

napisał **WOJCIECH WASIUTYŃSKI**

Przez szereg lat nie można było uzyskać żadnych cyfr o życiu polskim. Wszystkie, najniewinniejsze nawet nieraz dane statystyczne były tajemnicą państwową, a ich podanie bez szczególnego upoważnienia równało się zdradzie. Ten makabryczny system obowiązuje nadal w Sowietach. W Polsce nastąpił bunt zdrowego rozsądku i obyczaju europejskiego. Dzięki niemu ludzie w Polsce, a za nimi i na emigracji, poznać mogli przynajmniej część interesujących nas cyfr. Obecnie, po wielkiej ilości artykułów, odczytów, wypowiedzi publicznych i prywatnych, mamy nawet sporo komentarzy do udostępnionych cyfr i możemy je krytycznie ocenić.

„Rocznik Statystyczny", wydawnictwo Głównego Urzędu Statystycznego, nie wychodził w okresie „czystego" stalinizmu. W ciągu ostatniego roku wydano natomiast dwa tomy: na rok 1955 i na rok 1956. Pamiętać trzeba, że nie tylko pierwszy, ale i drugi rocznik opracowany był przed Październikiem. Oba są owocem tzw. odwilży. Pod względem ogólnego układu są do siebie bardzo podobne. Rocznik 1956 jest bardziej „postępowy", lub — jak kto woli — liberalny, co się wyraża przede wszystkim w tym, że zawiera dość obszerny dział międzynarodowy, którego nie było w roku 1955. Poza tym obszerniej traktuje rolnictwo oraz organizacje społeczne. Oczywiście, ogłaszanie informacji międzynarodowych nie było możliwe tak długo, dopóki obowiązywała legenda o wyższości gospodarczej systemu komunistycznego nad wszystkimi innymi. Chociaż bowiem cyfry z państw bloku komunistycznego są w tym przeglądzie niewiarygodne pod wielu względami, jednak, mimo to, bije z nich w oczy niższość gospodarcza w porównaniu z Zachodem.

Czego się można dowiedzieć z „Rocznika Statystycznego 1956"?

Gospodarka. Wartość poszczególnych działów Rocznika jest bardzo nierównomierna. Prawie wszystkie informacje gospodarcze są bądź nierealne, bądź przestarzałe, bądź też wątpliwe. Po rewelacjach ostatnich miesięcy wiemy, że nie można się opierać na ogłoszonych w nim cyfrach produkcji, ani cyfrach spożycia, ani cyfrach dotyczących zatrudnienia. Jedną z obowiązujących legend było, że w ustroju komunistycznym nie ma i nie może być bezrobocia. W rzeczywistości w Polsce istnieje zarówno bezrobocie jawne, obecnie już nie ukrywane, jak i bezrobocie ukryte, może nie mniejsze niż przed wojną. Przed wojną jednak bezrobocie ukryte miało postać „niepotrzebnych ludzi" w rolnictwie, obecnie ma postać „niepotrzebnych ludzi" w przemyśle. Chodzi nie tylko o armię biurokratów, którą obecnie zaczęto zmniejszać, ale i o robotników, których trzyma się w fabrykach na głodowych płacach, a dla których właściwie nie ma roboty. Robotę, jaką na Zachodzie spełnia jeden człowiek, w przemyśle polskim rozkłada się na paru ludzi, przy czym każdy z nich pracuje, czy raczej jest zajęty, przez więcej godzin niż robotnik zachodni.

Nierealne są także dane dotyczące płac. Nie tylko dlatego, że płace zmieniły się częściowo w ostatnim roku. Przede wszystkim dlatego, że bardzo mały procent ludzi żyje z oficjalnej płacy. Pieniądze płyną innymi drogami. Po pierwsze, ludzie, zwłaszcza pracownicy umysłowi, kumulują najczęściej po kilka posad. Następnie istnieje rozbudowany system tzw. prac zleconych, wreszcie wszechobecna jest łapówka w najrozmaitszych postaciach. Robotnikom przemysłowym zastępuje nieraz te dochody kradzież materiału, a pracownikom handlu sprzedaż protekcyjna. Wreszcie istnieje ogromny rynek pokątnego handlu i chałupniczego, ukrytego rzemiosła.

W tych okolicznościach nie warto bliżej omawiać działów gospodarczych Rocznika.

Ludność. Bardziej godna zaufania jest statystyka ludnościowa. Rozwój ludności Polski jest imponujący, szybszy niż po pierwszej wojnie światowej. Z 23 milionów bezpośrednio po ostatniej wojnie ludność Polski w obecnych granicach wzrosła do roku ubiegłego do 27.5 miliona, tj. wynosi tyle, ile w latach dwudziestych miała Polska wraz z ziemiami wschodnimi. Nie ma powodu wątpić w wysokie cyfry przyrostu naturalnego. Przyrost ten utrzymuje się na poziomie około 1,9% i jest jednym z najwyższych w Europie. Wątpić w niego nie należy, ponieważ liczba urodzeń jest obecnie nieco niższa niż w latach po pierwszej wojnie światowej, a nieco wyższa niż w latach kryzysu gospodarczego lat trzydziestych, słowem jest to przeciętna cyfra polska. Jeżeli przyrost naturalny jest tak wysoki, to dlatego, że w Polsce, podobnie zresztą jak w całym świecie, wskutek rozwoju medycyny spada liczba zgonów. Przeciętny wiek ludzki wydłuża się. Przede wszystkim jednak zmniejsza się liczba zgonów niemowląt. Ta liczba spada w Polsce dość regularnie od pół wieku co najmniej, mniej więcej o jedną czwartą w każdym pokoleniu.

Polska poniosła wyjątkowo ciężkie straty ludnościowe w ostatniej wojnie. Jednym ze skutków tego zjawiska, w połączeniu z dużym przyrostem naturalnym, jest niezwykła młodość biologiczna narodu. I tak: dzieci i młodzież do lat 18 stanowią 36% ogółu ludno-



WIOSNA W POLSCE: W dolinie Pięciu Stawów leży jeszcze śnieg

ści, a młode pokolenie (do lat 30) stanowi bezwzględną większość — 56% ludności.

Zasadniczej przemianie uległa struktura zawodowa ludności. Przed wojną rolnicy stanowili blisko dwie trzecie ludności, obecnie stanowią znacznie poniżej połowy. Robotnicy przemysłowi stanowią obecnie około jednej czwartej ludności (przed wojną jedną ósmą). Tak zwane usługi (głównie handel, transport i wolne zawody) wzrosły tylko o połowę (z ok. 10 na ok. 15% ludności*). Dla porównania podajmy, że we Francji ludność dzieli się na trzy mniej więcej grupy: rolniczą, przemysłową i usługową, a w Wielkiej Brytanii liczba ludzi zatrudnionych w dziale usług zbliża się do liczby pracowników przemysłu; rolnictwo w tym kraju gra rolę marginesową.

Inna strona tego samego zjawiska: Przed wojną niewiele ponad jedną czwartą ludności mieszkało w miastach, obecnie mieszka blisko połowa. Nie znaczy to, żeby wszystkie miasta, wszystkie rodzaje miast rozwinęły się. Przeciwnie: małe miasta, z wyjątkiem leżących na peryferii wielkich miast, wykazują stagnację, lub nawet upadek. Jest to wynik polityki komunistycznej, która dążyła do zniszczenia prywatnego handlu, rzemiosła i drobnego przemysłu, a starała się skupić ludność dokoła wielkich „kombinatów". Ma to jak najfatalniejsze skutki moralno-społeczne, a także i gospodarcze.

Największym konglomeratem miejskim w Polsce jest obecnie centrum Czarnego Śląska (Katowice — Zabrze — Bytom — Chorzów — Gliwice — Sosnowiec z leżącymi między nimi mniejszymi miastami). Liczy ono przeszło półtora miliona ludności. Na drugim miejscu idzie Warszawa (milion), następnie Łódź (674 tysięcy podobnie jak przed wojną), potem Kraków, zbliżający się do pół miliona, dalej niemal na równi Wrocław i Poznań (378 i 374 tysięcy), po czym, ponad 200 tysięcy każde: Gdańsk, Szczecin i Bydgoszcz. Z miast ponad 100 tysięcy ludności nie rozwinęły się wiele: Częstochowa, Lublin, Gdynia i Radom (w tej kolejności), natomiast przybyło nowe: Wałbrzych (110 tysięcy). Mniej więcej połowa ludności miejskiej w Polsce mieszka w miastach ponadstutysięcznych.

Szkolnictwo. Dużą zmianą w zakresie oświaty i szkolnictwa jest upowszechnienie szkoły 7-klasowej na wsi. Gdy przed wojną była ona raczej wyjątkiem, obecnie większość (ok. 60%) szkół wiejskich ma, przynajmniej teoretycznie, siedem klas. Teoretycznie, bo istnieje wiele tzw. filialnych punktów szkolnych, zaliczalnych organizacyjnie do szkoły 7-klasowej, a w rzeczywistości 1-klasowych. W każdym razie jednak usunięto krzywdę reformy jędrzejewiczowskiej, która uwsteczniła szkołę wiejską przez wprowadzenie szkoły niższego typu — ślepej uliczki, gdzie dziecko chodziło dwa lata do trzeciej a trzy do czwartej klasy i nie mogło przejść do wyżej zorganizowanej szkoły.

Zwiększyła się znacznie liczba nauczycieli. W szkole powszechnej przypada obecnie na 1 nauczyciela przeciętnie 33 dzieci, gdy przed wojną — 61,5. Inna rzecz, że wartość tej pośpiesznie i prymitywnie szkolonej, źle płatnej i obciążonej funkcjami administracji politycznej kadry — jest znacznie słabsza od przedwojennej. Poświadcza to fakt, że przedwojenni nauczyciele szkół powszechnych uczą teraz przeważnie w szkołach średnich.

Najgroźniejszy jest problem lokali. Wydawano na kształcenie nauczycieli, nie wydawano na budynki. Na wsi spora część szkół mieści się po chałupach, kątem. W miastach prawie wszystkie szkoły powszechne pracują na dwie zmiany, wiele nawet na trzy, co już musi podważać cały program. W miastach na 1 izbę szkolną przypada przeciętnie 52,7 uczniów, w Warszawie nawet 66,6.

Szkół średnich ogólnokształcących jest tyle co przed wojną i uczęszcza do nich tyle samo młodzieży (nie znaczy naturalnie, że są to wszystko te same szkoły). Zwiększyła się bardzo (przeszło dwukrotnie) liczba uczniów szkół średnich zawodowych (czteroletnich). Niestety, szkolnictwo to nie spełniło pokładanych w nim nadziei. Przyjęto wzór sowiecki (technikum), które jest szkołą typu przestarzałego, rodzajem dawnej szkoły rzemieślniczej. Brakło dobrych nauczycieli. Od roku liczbę tych szkół zmniejsza się. Przede wszystkim dlatego, że ich wychowankowie, z powodu bezrobocia, nie mogą znaleźć pracy w fachach, do jakich zostali przygotowani. Jest to w ogóle nowa tragedia w Polsce. Większość młodzieży kończącej szkołę podstawową, zostaje na ulicy. W społeczeństwie przeważnie chłopskim, jak polskie przedwojenne, czternastoletni absolwent powszechniaka szedł od razu pracować na ojcowskim gospodarstwie, a w mieście — najczęściej do terminu. W uprzemysłowionej Polsce czternasto-, czy nawet piętnastoleniego dziecka, nie chcą wziąć do fabryki. Powstała tzw. armia ulicy, źródło przestępczości nieletnich.

Wzrosła bardzo liczba szkół wyższych. Wzrost ten częściowo polega na podziale uniwersytetów na różne szkoły. W każdym razie liczba studentów w porównaniu z przedwojenną wzrosła trzykrotnie. Nie wszyscy to są studenci szkół istotnie wyższych, akademickich, wiele z nich ma poziom pół-wyższy. Największy jest wzrost liczby studentów politechnik. Stanowią oni dziś połowę ogółu studentów. Po odliczeniu różnych pseudo-uniwersyteckich kursów studentów politechniki jest 45 tysięcy. Politechnika Warszawska jest największą uczelnią w Kraju i liczy ponad 12.000 słuchaczy. Na drugim miejscu po politechnikach stoją pod względem liczebności akademie medyczne. Wielokrotnie spadła liczba studentów prawa, zaś humanistów i matematyko-przyrodników pozostało z grubsza tyle, co przed wojną. O poziomie nauki — statystyka nie mówi.

Kultura. Jako zjawisko dodatnie zanotujmy wzrost liczby lekarzy, z 13.000 przed wojną na 19.000. Znaczy to, że na 10.000 ludności przypada obecnie 6,7 lekarzy. Jest to jeszcze mało, ale blisko dwa razy więcej niż przed wojną.

Niepomiernie wzrosła liczba bibliotek. Jest ich ponad 36.000, w tym 26.000 bibliotek szkolnych, 5.000 bibliotek powszechnych i 4.000 bibliotek związków zawodowych. Biblioteki szkolne są spore, przeciętnie ponad 1.000 tomów w każdej. Ogółem w bibliotekach jest 76 milionów tomów. Ile w tym śmiecia propagandowego, statystyka milczy.

Kin natomiast śmiesznie mało. Kin miejskich w całej Polsce niewiele ponad 800. Razem z kinami ruchomymi i wiejskimi na 1000 mieszkańców przypada 16 krzeseł.

Bardzo trudno coś powiedzieć o cyfrach przestępczości, ponieważ dane są nieporównywalne z przedwojennymi i z zagranicznymi. Parę tylko rzeczy da się wyłowić. A więc zabójstw zdaje się być mniej niż przed wojną, natomiast dużo, dużo więcej rozbojów. W przestępczości przodują te ziemie, gdzie ludność najmniej jest osiadła, a powiązania społeczne najświeższe, to znaczy na Ziemiach Odzyskanych. Na ostatnim zaś, w tym wypadku zaszczytnym miejscu, stoi wieś w „starej" Polsce, gdzie najmniejsza stosunkowo wędrówka ludów. O przestępczości nieletnich świadczy najwyraźniej jedna cyfra. Corocznie skazuje się na dom poprawczy 5.000 młodzieży od 13 do 17 lat, z tego większość z zawieszeniem, głównie z powodu notorycznego braku miejsca w „poprawczakach". Najpospolitsze przestępstwo nieletnich (podobnie jak w innych krajach) — kradzież. Ale obok tego rozbój (w roku 1955 skazanych nieletnich za rozbój 75, w tym 6 dziewczyn), ciężkie uszkodzenia ciała (138 skazanych w 1955, w tym 2 dziewczyny). Łącznie skazanych nieletnich w roku 1955 — 15.893. Liczby zameldowanych przestępstw nieletnich Rocznik nie podaje. Skądinąd („Nowe Prawo") wiemy, że statystyka ich jest bardzo niekompletna.

Wreszcie dla lubiących meteorologię informacja: w roku 1955 najwyższa temperatura przeciętna roczna była w Opolu, najniższa w Zakopanem.

Wojciech Wasiutyński

---

*) Dane Rocznika zawierają lukę: brak przynależności zawodowej kilkunastu procent ludności. Czyżby administracja państwowa i wojsko z rodzinami obejmowały blisko 4 miliony ludzi?

BEZ LAKIERU

W marcu 1954 roku odbył się w Warszawie drugi kongres PZPR, na którym Bierut przedstawił zebranym „wspaniałe" wyniki osiągnięte przez Polskę Ludową w dziedzinie szkolnictwa wyższego. Po przedstawieniu ogromnego wzrostu szkół typu akademickiego, Bierut podkreślił jako jedno z najważniejszych osiągnięć, przemiany w układzie społecznym studentów w tych słowach:

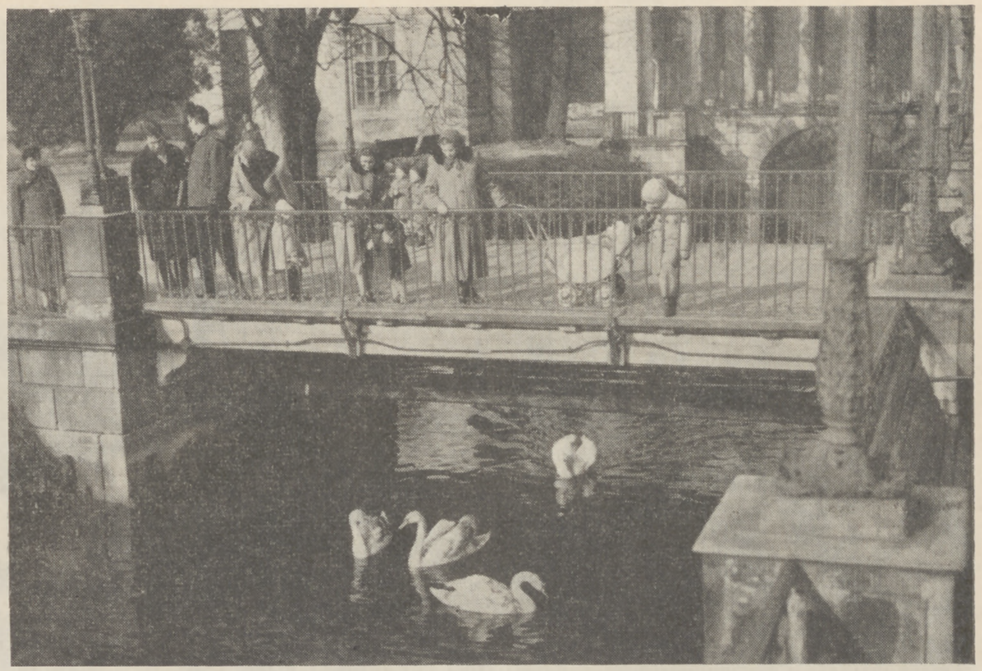
> „Zmienił się zasadniczo skład klasowy młodzieży akademickiej. Przed wojną odsetek młodzieży robotniczej na uczelniach wynosił 8,8 a chłopskiej 8,4. W roku 1952/53 odsetek młodzieży robotniczej na uczelniach wynosił już 34,1, a chłopskiej 25. Na 10.000 ludności chłopskiej było przed wojną 1,8 studentów pochodzenia chłopskiego, w roku 1952/53 liczba ta wzrosła do 30,3. Czy to nie jest piękna miara awansu społecznego młodzieży chłopskiej w Polsce Ludowej?
>
> „Liczba studentów w domach akademickich wynosiła przed wojną 6.000, obecnie zaś z górą 39.000. Odsetek studentów korzystających ze stypendiów państwowych wzrósł z 5,1% przed wojną do 67,7% w roku 1952/53. Naszą troską winno być stałe podnoszenie poziomu nauczania marksizmu-leninizmu. Powinno ono promieniować na całą pracę uczelni."

Ten oto awans społeczny, wspomniany przez Bieruta, stanowi regułę stosowaną przez reżym komunistyczny przy dopuszczaniu młodzieży do wyższych uczelni, niezależnie od tego, czy kandydaci zgłaszali się o przyjęcie po ukończeniu 11-letniej szkoły i złożeniu matury, czy też napływali na uniwersytety drogą awansu społecznego sensu stricto tj. po ukończeniu dwuletnich kursów maturalnych i zdobyciu matury w okolicznościach całkowicie odmiennych od uczniów szkół średnich. Ta ostatnia grupa korzystała z bezwzględnego pierwszeństwa. Byli to bowiem przede wszystkim aktywiści Związku Młodzieży Polskiej, zasłużeni w terenie w organizowaniu zebrań i manifestacyj oraz udzielaniu pomocy przy ściąganiu przymusowych dostaw zboża i mięsa, a wreszcie w informowaniu Urzędu Bezpieczeństwa o działalności „wroga klasowego".

Poza tymi zasługami mieli oni jeszcze jedną silniejszą stronę: byli „otrzaskani" w marksizmie-leninizmie, bez porównania lepiej niż uczniowie szkół średnich.

Ten sam awans społeczny obowiązywał i później, jeśli aktywista postanowił zdobyć dyplom kandydata nauk i pozostać na uniwersytecie w charakterze docenta. Zdolni kandydaci, nie pochodzący z awansu społecznego, napotykali na wielkie trudności i musieli udawać działaczy, by uzyskać stanowisko naukowe, podczas gdy ich koledzy — znakomici znawcy marksizmu-leninizmu zapełniali miejsca na nowo otworzonych uniwersytetach, obniżając poziom naukowy uczelni.

Powstanie tak wielkiej ilości wyższych uczelni musiało z biegiem czasu pociągnąć za sobą przesunięcia się warstw społecznych ludności. Trzeba bowiem wziąć pod uwagę, że poza tym wzrastała w niesamowity wprost sposób ilość szkół średnich wszelkich typów jak: technicznych, rolniczych, dramatycznych, muzycznych. Do tego doszły szkoły partyjne, jedna na każde województwo i wyższa szkoła partyjna przy Centralnym Komitecie PZPR oraz niezliczona ilość kursów wieczorowych, produkujących ludzi z dyplomem. Opuszczali wieś traktorzyści, zaś przemysł tracił dobrych mechaników, którzy po kilku latach studiów lub po ukończeniu kursów korespondencyjnych, wracali jako inżynierowie. Szerokim strumieniem płynęła co roku młodzież do uczelni, by po ukończeniu ich powiększyć tzw. warstwę inteligencji pracującej, nazwanej dzisiaj w Kraju warstwą „teczkową" od przyjętego przez tych ludzi zwyczaju uroczystego noszenia skórzanej teczki pod pachą.



WIOSNA W POLSCE: Łazienki w Warszawie rozjaśnia już wiosenne słońce

Od szeregu już lat los absolwentów wyższych uczelni różnych typów okazał się mizerny. Okazało się, że produkcja inteligencji nie była podyktowana potrzebami Kraju a tylko propagandą.

W tym samym czasie propaganda nie zaprzestała chwalić się nie tylko osiągnięciami cyfrowymi, ale przy każdej sposobności podkreślano, że przed wojną tylko dzieci burżuazji dopuszczano do wyższych uczelni, podczas gdy dzieci chłopskie i robotnicze skazane były na pracę fizyczną. Przemilczano celowo przykłady które zadawały kłam propagandzie, nie wspomniano nigdy o wielkich uczonych pochodzenia chłopskiego i robotniczego, ani o pochodzących z ludu czołowych osobistościach Kościoła katolickiego w Polsce, jak np. kardynał Hlond — syn kolejarza, ks. biskup Adamski — syn stolarza. Starano się nie pamiętać, że Prymas Wyszyński jest synem rolnika, a obecny biskup wrocławski synem górnika. Jeśli zaś chodzi o naszych inżynierów, to wiadomo, że profesor politechniki lwowskiej Bartel był ślusarzem, a znany cywilista prof. Gołąb synem chłopa. Propaganda komunistyczna musiała być jednostronna, jeśli miała osiągnąć skutek. Osiągnęła go niestety, jeśli chodzi o delegacje, które odwiedzały Polskę i powtarzały te kłamstwa po powrocie do swego kraju. Wystarczy przeczytać broszurki wydawane co roku przez „British - Polish Friendship Society", w których delegaci brytyjskich związków zawodowych powtarzali cyfry podane im przez polskich kolegów.

I znowu zginął wykres. Dla każdego, kto śledził rozwoj tej propagandy, było jednak jasne, że ukrywana rzeczywistość kiedyś wyjdzie na jaw, bowiem od szeregu już lat nadprodukcję tzw. inteligencji odczuwali poszukujący pracy „ludzie z teczką". Dziś ten problem stanął „bez lakieru" — jeśli użyjemy tu ich własnego języka — przed czynnikami rządzącymi Krajem. Tysiące bezrobotnych z dyplomami wyższych i średnich uczelni poszukuje beznadziejnie pracy, zaś w maju i czerwcu fala nowych „dyplomantów" zasili szeregi bezrobotnych inteligentów.

W propagandzie komunistów polskich zaszła w ostatnim czasie charakterystyczna zmiana. W ubiegłym roku — po blisko siedmioletniej przerwie — wydano „Rocznik Statystyczny" na rok 1955. Otóż na stronie 243 znajdujemy ślicznie wykonany, kolorowy wykres zatytułowany: „Studenci szkół wyższych według pochodzenia społecznego w odsetkach". Podano tam raz jeszcze, że studentów pochodzenia chłopskiego było w tym roku około 15%, robotniczego 45%, pracowników umysłowych (tak nazwano pracującą inteligencję) 38%, zaś innych 2%. Nie podano oczywiście, kto są ci „inni". W cyfrach umieszczonych w „Roczniku Statystycznym" musi uderzyć zmniejszenie się odsetka studentów pochodzenia chłopskiego z 25% na 15%. Potwierdza to wyrażone poprzednio założenie, że te 10% przepłynęły w ostatnich latach do warstwy pracowników umysłowych oraz fakt, że zahamowano bardzo silnie dopływ studentów z tej warstwy społecznej. Było pewne, że za kilka lat ten stosunek będzie wyglądał znacznie gorzej, bo mając na rynku tysiące bezrobotnych inteligentów, reżym przestanie po prostu ogłaszać jak się rzeczy mają. Okazało się, że stało się to nawet wcześniej. W nowym „Roczniku Statystycznym" na rok 1956, wydanym z początkiem bież. roku, ten pięknie wykonany wykres już pominięto.

W. O.



ROK GEOFIZYCZNY

WIELKIE PRZEDSIĘWZIĘCIE

Epoka nasza jest okresem „trzylatek", „pięciolatek" czy „sześciolatek" gospodarczych lub innych. Obecnie pozazdrościli planowania, ujętego w okresowe ramy, uczeni — i to w skali międzynarodowej. W dniu 1 lipca bież. roku zaczyna się niezwykle ambitne przedsięwzięcie naukowe, nazwane „Międzynarodowym Rokiem Geofizycznym" i określane przez Brytyjczyków i Amerykanów literami IGY (International Geophysical Year), a przez Francuzów skrótem AGI (Année Géophysique Internationale). Nazwa „roku" jest o tyle nieścisła, że w tym wypadku będzie on trwał 18 miesięcy i zakończy się oficjalnie 31 grudnia 1958 roku.

W pracach Roku uczestniczyć będzie przeszło 5.000 uczonych z 60 krajów. Program jego jest tak obfity, że w artykułach mu poświęconych tylko najważniejsze tematy mogą być poruszone — jak zauważa dr Christoph Wolff w „Die Welt". Celem Roku jest próba rozwiązania szeregu zagadek z zagadnień naszej planety. Termin Roku nie został wybrany na chybił trafił: uczeni przypuszczają mianowicie, że w okresie jedenastoletnim, w którym słońce wykazuje wzmożoną aktywność w zakresie plam i innych zjawisk, właśnie w czasie obejmującym Rok oczekiwać można ważnych z punktu naukowego wpływów wydarzeń kosmicznych na procesy meteorologiczne i geofizyczne.

Organizacja prac Roku. Program Roku realizowany będzie w piętnastu sekcjach, obejmujących tak różne, zdawałoby się, a przecież związane ze sobą zagadnienia, jak meteorologia i sejsmologia, oceanografia i prądy morskie, problemy jonosfery i siły ciężkości. Mniej więcej cztery razy na miesiąc, jeśli warunki obserwacyjne będą szczególnie dobre, co zachodzi zwłaszcza przy pierwszej fazie księżyca, zarządzona będzie wzmożona intensyfikacja i koordynacja wysiłków, aby uzyskać z różnych obszarów ziemi możliwie dużo dających się porównać wyników obserwacyj. Będą to tzw. „dni świata", co kwartał zaś zachodzić będzie tzw. „antrakt światowy" (World Interval), trwający dziesięć dni, w czasie którego wypełniane będą specjalne zadania.

Wystrzelenie sztucznego satelity. Punktem kulminacyjnym Roku Geofizycznego będzie niewątpliwie wystrzelenie sztucznego satelity ziemskiego, który z szybkością okrągło 8 kilometrów na sekundę okrążać będzie kulę ziemską w czasie, przekraczającym nieco półtorej godziny. Satelita ten będzie miał średnicę 50 centymetrów i ważyć będzie tylko 10 kilogramów. We wnętrzu zawierać on będzie dużą ilość skomplikowanych instrumentów, m .in. mały nadajnik radiowy.

Planuje się rozdzielić po całej kuli ziemskiej stacje obserwacyjne, zaopatrzone w teleskopy i specjalne aparaty fotograficzne, tak by można było śledzić losy tego sztucznego ciała, a raczej ciałka, niebieskiego. W tym pościgu obserwacyjnym brać będą poza tym udział wielkie radiowe obserwatoria astronomiczne.

Poza tym satelitą zamierza się wystrzelić w przestrzeń pewną ilość mniej kosztownych „subsatelitów", zrobionych z aluminium. Nie będzie w nich żadnych instrumentów ,ale samo śledzenie ich biegu doprowadzić może do ciekawych wniosków naukowych.

Obserwacja prądów morskich. Szczególne znaczenie będą miały badania meteorologiczne i oceanograficzne, które w szerokiej mierze uwzględnione zostały w programie Roku. Uczeni dwunastu różnych narodów śledzić będą z przeszło stu stacji obserwacyjnych wahania się poziomu morza w różnych porach roku — wahania, których rozmiary i przyczyny są do tej pory słabo tylko zbadane.

Przede wszystkim jednak uczeni zajmą się dynamiką owych pionowych prądów morskich, które powodują wymianę wód powierzchni i wód głębinowych w oceanach. Przypuszcza się, że w pewnych okresach periodycznych, być może obejmujących setki lat, następuje wskutek tego wymiana wód, która ma rozstrzygające znaczenie także dla ukształtowania klimatu różnych okolic ziemi.

Zbadany ma być również dokładny przebieg Golfstromu w środku Atlantyku. Na ten cel Stany Zjednoczone, Kanada, Wielka Brytania i Norwegia wyznaczyły specjalne statki. Ze swej strony uczeni japońscy i sowieccy mają zająć się prądami w Oceanie Spokojnym.

„Front polarny". Celem tzw. „Polar Front Survey" będzie zbadanie granicy (ją to właśnie określa się mianem „frontu polarnego"), biegnącej od wschodniego wybrzeża Grenlandii, która ostro i wyraźnie rozdziela zimne wody Grenlandii wschodniej od znacznie cieplejszych mas wodnych Atlantyku. Zbadanie tych prądów ważne jest nie tylko dla meteorologii, ale także dla rybołóstwa, gdyż wyznaczają one warunki życia zarówno ryb użytkowych jak i tzw. planktonów, które stanowią pożywienie ryb.

Inne badania poświęcone będą zasobom ciepła, którymi ziemia rozporządza i ich wpływowi na kształtowanie się pogody. Istnieją prądy ciepła między powierzchnią ziemi a atmosferą; chodzi o zbadanie, jak się przedstawia bilans procesu, polegającego z jednej strony na promieniowaniu cieplnym, które ziemia otrzymuje od słońca, i utratą ciepła, której ziemia stale doznaje.

Codziennie 700 stacyj, rozproszonych po całej kuli ziemskiej, przy pomocy sond radiowych będzie przeprowadzało dokładne pomiary aż po wielkie wysokości; pomiary te powinny dać ważne dane dotyczące pionowych prądów powietrznych, a także wyjaśnić zagadkę tzw. „prądów odrzutowych" — tych potężnych huraganów, które szaleją ponad ziemią na wielkich wysokościach i na wyraźnie określonych szlakach.

Kraina wiecznych lodów. Wyniki wszystkich tych badań uwidocznione będą na wielkich mapach, których sporządzenia, jeśli chodzi o półkulę północną, podjęły się Stany Zjednoczone, a jeśli chodzi o półkulę południową Unia Południowo-Afrykańska. Przeprowadzenie odpowiednich pomiarów i prac w pasie tropikalnym powierzono uczonym niemieckim.

Przedmiotem specjalnych badań będzie skorupa lodowa na Antarktydzie. Poprzednie badania ustaliły grubość i strukturę masy lodowej Grenlandii, która często ma kilka kilometrów grubości ,natomiast o masach lodowych Antarktydy, prawie ośmiokrotnie większych, wie się do tej pory stosunkowo niewiele. Chodzi o zbadanie, jak ta masa lodowa działa jako rezerwuar zimna ziemi, oraz jaki jest stosunek procesów odwilży i tworzenia się nowego lodu. Od szeregu miesięcy już przebywają w tych rejonach wiecznego lodu uczeni amerykańscy i sowieccy i prowadzą prace przygotowawcze.

Rok Geofizyczny zajmie się również takimi zagadnieniami, jak przesuwanie się północnego bieguna magnetycznego, zorza polarna, promieniowanie kosmiczne i inne problemy. Toteż spodziewać się należy, że prace Roku przyniosą nauce wiele cennych zdobyczy.

POLACY W PRACACH ROKU GEOFIZYCZNEGO

Imponujące przedsięwzięcie naukowe, jakim jest Międzynarodowy Rok Geofizyczny 1957/58, nie mogło obejść się bez Polaków. Nauka polska nie pozostawała nigdy w tyle za innymi, a uczeni polscy wnieśli bogaty wkład do kultury świata. Geografowie polscy mają złotą kartę w badaniach o znaczeniu międzynarodowym, że wymienimy choćby Jana de Plano Carpino (Polonois) i Benedykta Polonusa, którzy dotarli z Polski do Chin a opis ich podróży, wydany w 1245, będący pierwszym dokumentem europejskiej geografii o górach i stepach Azji, wzbudził duże zainteresowanie w całym XIII-wiecznym świecie i pobudził Kolumba do odkrycia Ameryki.

Cenną pracę o Maroku dał w roku 1792 (po francusku) Jan Potocki, a o Afryce wschodniej w roku 1887 (po polsku i niemiecku) napisał Stefan Rogoziński. Jan Dybowski bada jezioro Tsad (oraz organizuje kulturę rolną w Algerii). C. Motyliński, jako pierwszy badacz europejski, bada życie Tuaregów. W pierwszej połowie ubiegłego wieku wielkie wrażenie zrobiły na Zachodzie dwie książki Polaków o Syberii, a mianowicie: „Revelations of Sibiria" (Londyn 1831) Krystyna Lacha-Szyrmy i „Moja podróż po Syberii" Rufina Piotrowskiego, wydana w 1863 roku w językach niemieckim i angielskim.

Jan Potocki ogłasza swe badania odnoszące się do Chin i Azji centralnej, zaś Wacław Rzewuski pisze o Środkowym Wschodzie. On też zakłada w Wiedniu i wydaje w latach 1809-1818 pismo poświęcone Środkowemu Wschodowi pt. „Mines d'Orient".

Misjonarz, późniejszy arcybiskup w Indiach Władysław Zaleski, opublikował w roku 1887 cenne dzieło naukowo-podróżnicze pt. „Voyage a Ceylon et aux Indes". Autorem dzieł o Azji centralnej i Japonii jest Antoni Kłopotowski, generalny gubernator francuskich Indochin. Marian Raciborski położył duże zasługi w podniesieniu kultury trzciny cukrowej na Jawie.

Ignacy Domeyko stworzył pierwszą mapę geologiczno-geagraficzną Chile w podziałce 1:250.000, założył sieć meteorologiczną dla tego kraju, a także muzeum etnograficzne, zreformował uniwersytet w Santiago na wzór uniwersytetu wileńskiego. Józef Warszewicz spędził lata całe w dżunglach Ameryki Południowej i jego to nazwiskiem uczczono niezliczone gatunki roślin świata tropikalnego. Jan Sztolcman wydał dwutomową pracę o Peru. Mapę Peru (w roku 1870) opracował Babiński. Hugo Zapałowicz, glacjolog, ogłosił pracę o Andach. Edmund Strzelecki, geograf i geolog, zbadał Alpy australijskie ,nazywając jeden z ich szczytów imieniem Kościuszki, Australijczycy zaś w uznaniu zasług Strzeleckiego nazwali jedną z gór jego imieniem. Strzeleckiego opis geograficzny Nowej Południowej Walii, wydany w roku 1845, był przez kilkadziesiąt lat dziełem przodującym w tej dziedzinie nauki angielskiej.

Wyprawy polarne mają w swych dziejach takie wybitne polskie nazwiska, jak: Henryk Arctowski, Dobrowolski, Aleksander Kosiba i wielu innych.

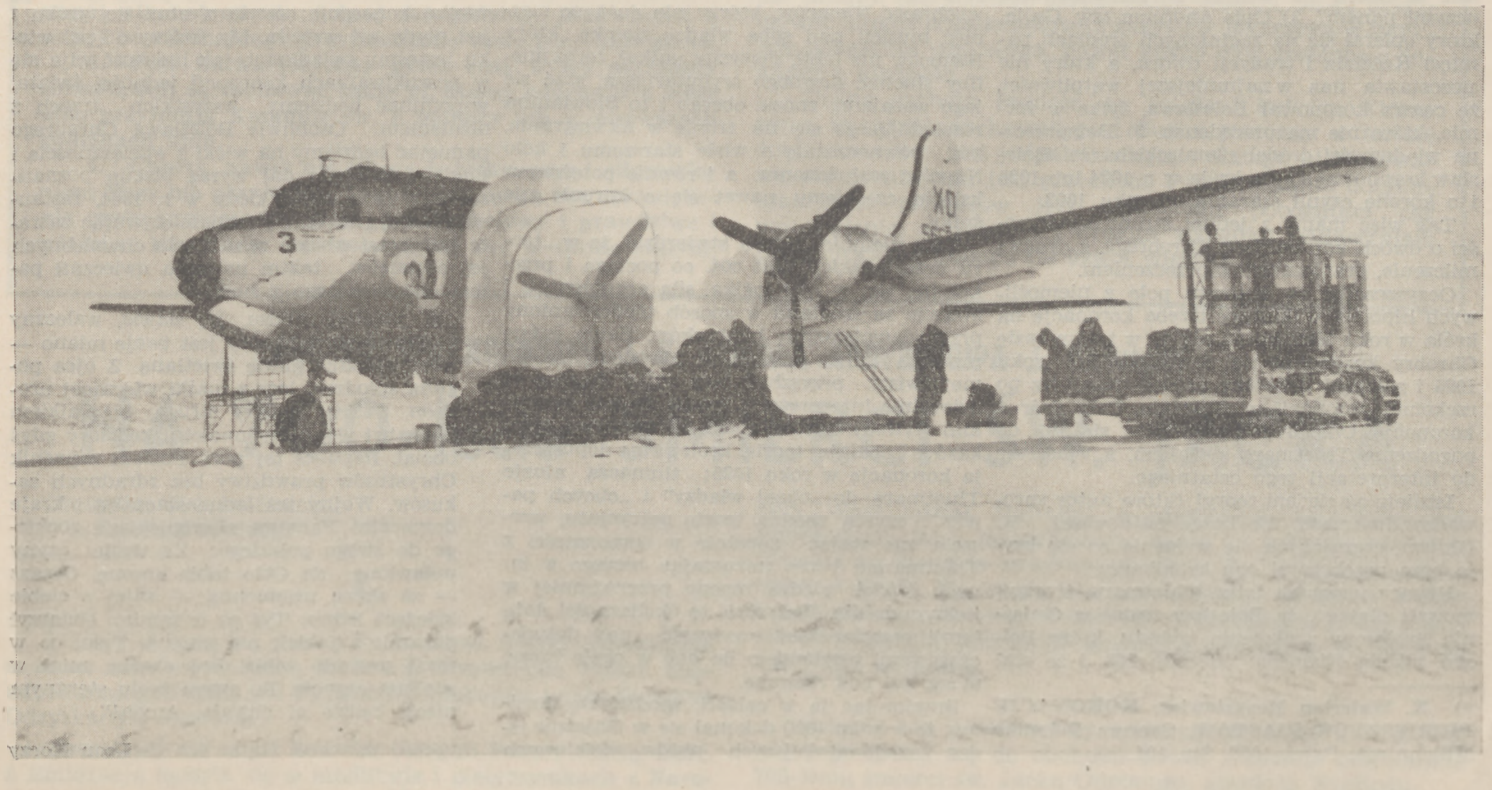
Światowej wagi badania górnych warstw atmosfery przeprowadził Artur Berson, rodem z Nowego Sącza, zaś badania geofizyczne — prof. uniwersytetu w Krakowie i Odessie M. Rudzki.

Wymienione przeze mnie nazwiska nie obejmują ani wszystkich polskich badaczy ani całości problemów, nad którymi pracowała nauka polska, widać jednak na tych choćby

Ciąg dalszy na str. 18)

Zdjęcie na stronie 8. **Statek Greenville Victory wiozący zaopatrzenie i ekwipunek dla stacji badawczej Roku Geofizycznego na Ziemi Wilkesa ugrzązł w zwałach lodu. Na ratunek spieszy mu łamacz lodów Glacier, z którego pokładu zrobiono to zdjęcie.**

Fotografia na stronie 9. **Na stacjach na Antarktydzie przeprowadza się nadal badania nad sprzętem i ekwipunkiem. Załoga samolotu „Skaymaster" RUD Douglas, który należy do ekwipunku stacji nakrywa motor samolotu specjalnym okryciem, które ma chronić go przed wielkim mrozem.**



HISTORIA

„KORONACJE PIERWSZYCH PIASTÓW"

Gdy spojrzymy na tytuł „Koronacje pierwszych Piastów"*), przychodzi na myśl wspaniały zjazd na Wielkanoc roku 1000 w Gnieźnie, w czasie którego cesarz Otton III, dostojny gość polskiego księcia i pątnik u Grobu św. Wojciecha, zdjął ze swej głowy diadem i włożył go na głowę Bolesława Chrobrego. Tylko znawcy wiedzą, ile z tym wydarzeniem wiąże się wątpliwości i ile to historycy zadali sobie trudu, aby ustalić, co to się właściwie stało w czasie tej uroczystości, która znana nam jest jedynie z późniejszego świadectwa. Za to koronację jego następcy uważano za rzecz zwykłą, nie pisano o koronacji Bolesława Zapomnianego a o Kazimierzu Odnowicielu przyjmowano ogólnie, że objął rządy i zakończył je jako „dux".

Omawiana tu praca idzie w dwu kierunkach: Zajmuje stanowisko wobec podwójnej koronacji Bolesława Chrobrego i rozpatruje koronacje trzech jego następców.

Trzy czwarte pracy poświęcił wielebny autor Bolesławowi Chrobremu i to nikogo nie zaskoczy. Powiedzmy od razu, że tu jest on u siebie i ta część pracy jest też na wskroś oryginalna. Są jeszcze w niej dwa inne zagadnienia, mianowicie koronacja Bolesława Zapomnianego (1034-1037), za którą historycy będą autorowi wdzięczni, bo stawia ona w nowym świetle inne zagadnienie, mianowicie tzw. reakcję pogańską, po zgonie Mieszka w roku 1034.

Osnową pracy jest jednak wyjaśnienie koronacji Bolesława Chrobrego. Trzy rzeczy zajmowały historyków od czasów Naruszewicza: 1) Milczenie współczesnego i dobrze ze sprawami polskimi obeznanego świadka, jakim jest biskup merseburski Thietmar. Wszystko co on ma do powiedzenia w tej sprawie zamyka się w bolesnym i oburzającym westchnieniu, że Otton III Bolesława „trybutariusza uczynił panem". 2) Opis Anonima tzw. Galla, który opierał się na zaginionych źródłach, pamięci Kościoła i tradycji dworu, a który nie pozostawia nas w najmniejszej wątpliwości, że cesarz koronował Bolesława, tylko w formie, która nie ma precedensu. 3) Bezsprzeczne wiadomości źródeł niemieckich że Bolesław koronował się na króla w r. 1024 lub 1025 i o koronę czynił starania od roku 1003.

Tak więc mamy z jednej strony wiadomości o dwóch koronacjach Chrobrego, z drugiej milczenie, graniczące z zaprzeczeniem.

Oczyszczając za autorem pole z niemożliwych hipotez wykluczyć trzeba koronację na króla w roku 1000, bo po cóż by w takim razie Chrobry koronował się powtórnie w roku 1025 i zabiegał o koronę prawie nazajutrz po rzekomej koronacji w Gnieźnie. Cały spór o koronacje Chrobrego sprowadza się też do pogodzenia Thietmara z Gallem, a właściwie do interpretacji tego ostatniego.

Istnieje aż siedem teoryj (które autor sprowadza do trzech, nie licząc najnowszej, M. Uhlirz), starających się wyjaśnić co się kryje poza przekazami obu kronikarzy.

Niemcy uznawali tylko Thietmara, i przyjmowali dlatego, że Bolesław został w Gnieźnie zwolniony z płacenia trybutu, który Polska płaciła Niemcom od roku 963, i że stał się „panem", w ich mniemaniu — księciem Rzeszy. Polscy uczeni odwoływali się do naszego Galla, Thietmara posądzając o świadome milczenie, i widzieli w jego przekazie akt częściowej koronacji, czy też zapowiedzi albo upoważnienia do koronacji. I jedni i drudzy zeszli się w teorii patrycjatu, godności starej i na pewno istniejącej w roku 1000, ale w treści niepewnej i w danej chwili nieokreślonej.

Ta ostatnia teoria była żywa w ostatnich latach i nie miała stanowczych przeciwników. Godziła dwa obozy i jeśli nic innego, to usuwała przeszkodę, jaką zawsze stanowiły dwie koronacje Chrobrego, w Gnieźnie i w roku 1025. Mimo to odrzuciła ją ostatnio uczona austriacka, Matylda Uhlirz, wysuwając przeciw niej własną teorię „symbolicznej przyjaźni", między cesarzem a Bolesławem Chrobrym.

Nasz autor wszystkie te teorie odrzucił, dając na ich miejsce własną „cezariańską teorię". Jej pierwszą myśl znajdujemy już u Wojciecha Kętrzyńskiego, którego autor (razem z K. Tymienieckim) zasłużenie wydostał z zapomnienia, a jak w tym wypadku i z odosobnienia, jednak w pracy niniejszej jest ona wszechstronnie uzasadniona i ujęta oryginalnie, także ze stanowiska prawa. Teoria ta mieści się w jednym jego zdaniu: „Otton III w Gnieźnie w roku 1000 koronował Chrobrego na Cezara-Współimperatora". To jest treść wydarzenia, które miało miejsce w Gnieźnie, w roku 1000, u trumny św. Wojciecha.

Nawet ci, co zapomnieli o Kętrzyńskim a na samą teorię są przygotowani i dawniejszymi poglądami autora i pracami Zygmunta Wojciechowskiego, będą przecierali oczy, gdy się z nią zapoznają. Tak ona jest nowa, tak wykraczająca już nie tylko poza to co dopuszczały dawniejsze poglądy, ale też i poza polityczną rzeczywistość. Oszałamiająca jest ona dla każdego, kto wie jak mozolnie budował Mieszko swoje państwo, jak niepewne było jego stanowisko wobec Niemiec, jak zniósł rozmaite upokorzenia z ich strony, jak się obawiał grafów. Jak tu wierzyć, że jego syn, nie posiadłszy korony, wyniesiony zostaje ponad tron na same cesarstwo?! Jak sobie wyobrazić Niemców, którzy nie dość, że cierpieć musieli nad sobą władzę ziomka, który Niemców nie lubił, ojczyzny unikał, teraz mieliby słuchać dawnego trybutariusza, stać się jego wasalami, znosić obcego i to Słowianina rozsiadającego się na tronie w Akwizgranie, gdy równocześnie o wiele starszemu i koło Niemiec zasłużonemu a i równie potężnemu księciu czeskiemu nawet się o koronie nie śniło!

Tym niemniej trzeba stwierdzić, że w „teorii cezariańskiej" jest coś, co pociąga i przekonuje, jest w niej logika, siła argumentów i zwarcie ze źródłami w sposób niedościgniony przez dawniejszych historyków. Sama interpretacja autora pozostanie dowodem, że dla mediewisty przyszłość leży tylko jeszcze w dziedzinie interpretacji źródeł. Przede wszystkim wywody autora godzą sprzeczności przekazów: obalają teorię królewską; dopuszczają koronację w roku 1025; tłumaczą aluzje Thietmara do „obcej władzy" i „obcych panów"; czynią zbędną teorię patrycjatu, wreszcie, nie stając zupełnie w sprzeczności z Thietmarem i nie naruszając niczego z innych źródeł siedzą mocno przynajmniej w jednym źródle. Wszystkie te okoliczności dają teorii cezariańskiej wyższość nad dotychczasowymi teoriami, o ile one w ogóle brane mogą być pod rachubę.

Przyjmując ją w całości, zgodzić się musimy, że w roku 1000 dokonał się w Gnieźnie jeden z najdonioślejszych aktów dziejowych Europy: Przekazanie władzy cesarskiej i wszystkiego, co się z tą władzą łączy: obrony chrześcijanstwa, misyj wśród niewiernych na zewnątrz, na wewnątrz opieki nad Kościołem i jego trzodą, przekazanie tej władzy synowi szczepu, który sam się niedawno ledwie był ochrzcił. Tym tragiczniejsze musiało być załamanie się idei powziętych nad trumną św. Wojciecha — nad trumną Ottona III. To był ich koniec. Nie możemy też, niestety, towarzyszyć wielebnemu autorowi, gdy usiłuje ją śledzić w rządach Bolesława po roku 1002 i nawet po jego śmierci. Zdaniem moim, Chrobry pożegnał się ze złotym snem casarza po jego śmierci i odtąd pracował nad stworzeniem wielkiej monarchii słowiańskiej pod berłem Piastów. I to przepadło. Na przeszkodzie tej idei stanęli Niemcy, nie rozumieli jej Czesi, a i naród nie podciągnął się do wyżyn swego geniuszu.

Pracę niniejszą trzeba też przy wszystkich jej oryginalnych osiągnięciach uznać, jak mniemam, jako wstęp do dzieła o Bolesławie Chrobrym, które wypadło z rąk zmarłego przedwcześnie Zygmunta Wojciechowskiego, albo, jak chce autor, jako część pracy o dziejach polskiego Kościoła. Można tylko życzyć sobie, aby autor szczęśliwie tego dzieła dokonał i złożył je w darze narodowi na jego millennium.

Trudno jest pisać przystępnie i potocznie o krytyce źródeł, wijąc się wśród wątpliwości, domysłów, poglądów i hipotez, walcząc z niedomówieniem źródeł i dowolnością pisarzy. Wobec pierwszych autor był surowy, wobec drugich rycerski. Trudno mu jednak wybaczyć, że w swej bibliografii pomieścił nazwiska mniej ważne a przemilczał ważniejsze, odkładając to do przyrzeczonego omówienia źródeł i literatury.

Pisząc o tak trudnym przedmiocie, autor nie nuży czytelnika ani na chwilę, czy to kreśląc węglem sylwetki postaci historycznych, czy to odtwarzając kontrast, jako w roku 1000 rozdzielał dwa światy: jeden własny, zimny i ciasny świat germański, drugi wzniosły i ludzki, świat uniwersalny, tkwiący korzeniami w augustiańskiej civitate Dei.

Otton, Sylwester i Chrobry przegrali swoją wielką koncepcję: zeszła z nimi do grobu i już nigdy nie wróciła. My, którzy od pół wieku jesteśmy świadkami, jak ludzkość wije się w poszukiwaniach koncepcji jedności świata, wspominać będziemy wszystkich trzech z olśnieniem. Osobliwie Bolesława Chrobrego pamiętać będziemy na wieki z wdzięcznością i hołdem, któremu dał wyraz biskup poznański Jan IV z Kępy, kiedy w r. 1344, restaurując swoją katedrę i rozpamiętywując zatratę tylu piastowskich ziem i tylu chwalebnych jej obrońców, takim napisem uwiecznił pamięć największego z nich:

> „W wielkiej, wodzu, żyj sławie, waleczny ty Bolesławie! Chabry jest twoje miano — miej wiecznie glorię świetlaną. Z ojca pogana spłodzon, lecz z matki wierzącej urodzon, Święty obmyty strugą, tyś całkiem Pana był sługą Siedmioletni kędziory gdyś obciął, Rzym-eś tej pory Posiadł zapaśnik Chrystusów prawdziwy bez zdradnych zakusów. Wojny też ładne staczałeś i kraje dorzucałeś Państwa słowiańskiego gockiego do swego polskiego. Za twoje czyny wsławione da Otto tobie koronę. Cesarz — ze sławą promienną — zdjął z ciebie książęce lenno: Tyś go w zamian obdarzył darami, o jakich nie marzył. Tym, co w myśl przyszło tobie, boś skarby miał w wielkim zasobie. Po swym życiu steranym niech będzie ci chwała. Amen!"

Leon Koczy

*) **X. Walerian Meysztowicz: KORONACJE PIERWSZYCH PIASTÓW.** Sacrum Poloniae Millennium. Rzym 1956. Str. 104.

NOWE PRZEPISY O POŚCIE PRZED KOMUNIĄ ŚW.

MOTU PROPRIO

Złagodzenia wprowadzone przez Konstytucję Apostolską „Christus Dominus" zostają rozszerzone.

PIUS PAPIEŻ XII.

Ażeby wierni mogli często przyjmować KOMUNIĘ ŚWIĘTĄ i łatwiej zadośćczynić przykazaniu o wysłuchaniu Mszy św. w dni święte, ogłosiliśmy na początku roku 1953 Konstytucję Apostolską „Christus Dominus", w której złagodziliśmy przepisy o poście Eucharystycznym; Ordynariuszom zaś miejsc udzieliliśmy władzy pozwalania na odprawianie Mszy i przyjmowanie Komunii św. w godzinach popołudniowych, pod pewnymi warunkami.

Czas zaś zachowania postu przed Mszą lub świętą Komunią, którą odprawia się czy przyjmuje w godzinach popołudniowych, skróciliśmy do trzech godzin dla pokarmu stałego i jednej godziny dla napoju bezalkoholowego.

Biskupi oceniając wagę obfitych owoców tej ulgi złożyli Nam jak najgorętsze podziękowanie i wielu z nich, dla większego dobra wiernych, zwracało się w gorących i ponawianych prośbach o władzę pozwalania na odprawianie Mszy codziennie w godzinach popołudniowych. Prosili ponadto o ustanowienie tego samego czasu zachowania postu przed Mszą lub Komunią świętą, odprawianą czy przyjmowaną w godzinach przedpołudniowych.

Biorąc pod uwagę znaczne zmiany, jakich doznała organizacja pracy i urzędów publicznych, a także całego życia społecznego, uznaliśmy za właściwe zadośćuczynić prośbom biskupów, i przeto postanowiliśmy:

1. Ordynariusze miejsc, z wyjątkiem wikariuszów generalnych bez specjalnego mandatu, mogą pozwalać na odprawianie Mszy w godzinach popołudniowych codziennie, jeśli wymaga tego dobro duchowe znacznej części wiernych.

2. Czas zachowania postu Eucharystycznego przez księży przed Mszą i wiernych przed Komunią św., w godzinach czy to przedpołudniowych czy popołudniowych, ogranicza się do trzech godzin, jeśli chodzi o pokarm stały i napój alkoholowy, do jednej zaś godziny, jeśli chodzi o napój bezalkoholowy: przyjmowanie wody nie łamie postu.

3. Post Eucharystyczny przez czas wyżej określony zobowiązani są zachować także ci, którzy odprawiają Mszę albo przyjmują Komunię św. o północy lub w pierwszych godzinach dnia.

4. Chorzy, nawet nie leżący w łóżku, przed odprawieniem Mszy lub przyjęciem Eucharystii mogą bez ograniczenia czasu przyjmować napój bezalkoholowy i prawdziwe i właściwe lekarstwa, czy to w płynie czy w stanie stałym.

Zachęcamy jednak usilnie kapłanów i wiernych, którzy są w stanie to uczynić, ażeby zachowywali czcigodny i dawny sposób postu Eucharystycznego przed Mszą lub Komunią świętą.

Wszyscy wreszcie, ktorzy z tych ulg będą korzystać niech starają się wedle swych sił wynagrodzić w zamian za udzielone dobrodziejstwo bardziej jaśniejącymi przykładami życia chrześcijańskiego, a zwłaszcza uczynkami pokutnymi i miłosiernymi.

Przepisy, które zawarte są w tym Liście Apostolskim Motu proprio, wejdą w życie od dnia 25 marca, w uroczystość Zwiastowania Najświętszej Maryi Panny.

Jakiekolwiek przepisy przeciwne, choćby na specjalną uwagę zasługujące, tracą swą moc obowiązującą.

Dan w Rzymie u Świętego Piotra, dnia 19 marca, w uroczystość św. Józefa, Patrona Kościoła Powszechnego, w roku 1957, dziewiętnastym Naszego Pontyfikatu.

Pius Papież XII.

* * *

Należy zaznaczyc, że Papież powodowany troską o dusze żyjące wśród ogólnego zmaterializowania odczuł jak Jezus: „Misereor super turbam" („Żal Mi ludu") i poczynił ulgi w poście Eucharystycznym, by dusze ludzkie mogły w obfitości i na codzień karmić się Chlebem Anielskim. Kościół, niezłomny w zasadach, dostosowuje się do wszystkich czasów w czym tylko może i w tym zaznacza się jego młodość.

Motu Proprio „Sacram Communionem" jest tak jasne, że jego przepisy są dostępne nawet dla umysłowości dzieci. Trzy godziny postu od pokarmów stałych i napojów alkoholowych, jedna godzina od napojów bezalkoholowych dla wszystkich wiernych na każdym miejscu, bez względu na porę dnia i nocy, bez radzenia się spowiednika, jak było obecnie. Przez wodę rozumie się każdą wodę w zwykłym znaczeniu tego słowa, a więc i wody mineralne i naturalne dezynfekowane immunizowane substancjami chemicznymi. Chorzy, bez żadnego skrępowania czasem, mogą przyjmować napoje bezalkoholowe i wszystkie lekarstwa w zwykłym znaczeniu tego słowa, nawet gdyby były zrobione z domieszką alkoholu.

Usilna zachęta Papieża, by księża i świeccy, którzy mogą to czynić, zachowali post Eucharystyczny w formie dotychczasowej, jest jedynie zachętą i dlatego niestosowanie się do niej nie jest grzechem. Przestrzeganie dotychczasowych przepisów jest uczynkiem pobożności czy umartwienia, w jednym i drugim wypadku oddawaniem Bogu chwały i zasługą na żywot wieczny.

ORĘDZIE WIELKOPOSTNE J. E. KSIĘDZA ARCYBISKUPA J. GAWLINY

NA 700-lecie ŚMIERCI ŚW. JACKA

Czcigodni Księża Bracia,
Kochani Rodacy:

I

Polski rok maryjny ma się ku końcowi. Matka Najświętsza okazała nam się łaskawą Królową. Przywróciła Polsce najukochańszego Prymasa i wygnanych biskupów i dała Ziemiom Odzyskanym Pasterzy.

Szczelniej niż ongiś Szwedzi oblegali Polacy Jasną Górę, a Emigracja łączyła się w modlitwie i pielgrzymkach z Narodem. Wasz udział, Najmilsi, w obchodach maryjnych był imponujący jako manifestacja wiary i jedności polskiej. Wywarł on głębokie wrażenie na Ojcu Św. i pokrzepił serca braci w Kraju. Za waszą wierność składam serdeczne dzięki Przewielebnym Księżom Rektorom, Czcigodnemu Duchowieństwu i wszystkim kochanym Rodakom rozsianym jak perły po całej kuli ziemskiej.

Jeszcze nie przebrzmiały echa uroczystości maryjnych, a już gotujemy się do obchodu nowej rocznicy, mianowicie 700-lecia śmierci św. Jacka Odrowąża, apostoła Wschodu.

Czasy, w których żył i pracował nasz święty, były niezmiernie ciężkie.

Wiarołomność cesarza Fryderyka II, który zawzięcie z Kościołem walczył, wywołała niemałe zamieszanie wśród chrześcijan. Wystarczy wspomnieć, że w antypapieskich szeregach cesarskich zdobywających Monte Cassino, znajdował się również ojciec św. Tomasza z Akwinu ze swoimi rycerzami.

Przeciwko Chrześcijaństwu powstał groźniejszy jeszcze Islam, gotujący się do zdobycia Europy i do zniszczenia Krzyża świętego. Bunt Albigensów, sekty religijno-społecznej, podrywał spoistość Kościoła, a na domiar złego zabłysła nad Europą Wschodnią krzywa szabla tatarska, którą nasi przodkowie tak boleśnie odczuli.

Ciemne chmury zawisły również nad życiem społecznym. Między systemem feudalnym a mieszczaństwem zaczęły się krwawe walki o nowy porządek świata. Wojna, bunt, zdrada, krew, zgiełk broni, lęk przed przyszłością, oto obraz ówczesnego świata.

W Polsce toczyły się rozprawy o tron krakowski. Do walk dynastycznych dołączyły się zmagania rodów. Wkrótce zalał Ojczyznę najazd tatarski. „Czego nie dosięgnął Tatar, to zniszczył Prusak" pisze Długosz o latach po bitwie legnickiej (1241).

W tak ciężkich czasach danym było żyć św. Jackowi Odrowążowi, urodzonemu w Kamieniu Śląskim, który dziś znów do Rzeczypospolitej wrócił. Syn możnego rodu, związany bliższymi stosunkami z piastowiczami krakowskimi, towarzyszył stryjowi Iwonowi, Biskupowi krakowskiemu do Rzymu, gdzie razem z błog. Czesławem wstąpił do nowego Zakonu Kaznodziejskiego, pociągnięty jego mocą i pięknem. Zakon ten należy do żebrzących. Całkowite wyrzeczenie się dóbr doczesnych wydawać się musiało jego feudalnej rodzinie przyznaniem się do niższej warstwy społeczności. Lecz właśnie królewską drogą ubóstwa i radykalnej miłości prowadził Bóg swego sługę do chwały.

Jacek był duszą Zakonu Dominikańskiego w Polsce. Klasztory w Krakowie, Wrocławiu, Gdańsku i Kijowie są pomnikami jego trudu apostolskiego. Polska, Ruś i Prusy były głównymi terenami jego prac duszpasterskich. Chyba żaden ówczesny misjonarz nie przemierzył tylu, co on, mil, nie przeżył tylu niebezpieczeństw, nie nawrócił tylu dusz co ten rycerz Chrystusowy, już za życia słynący cudami, którego Pan powołał do chwały wiecznej w samo święto Wniebowzięcia Najświętszej Matki Swojej.

Ostatnimi słowy swoimi nawoływał umierający św. Jacek braci i rodaków swoich do miłości wzajemnej.

Miłość! Słowo o dźwięku czarownym, pojęcie w naszych egoistycznych czasach jakby z innego pochodzące świata — istotnie, bo zstąpiło z niebios, z doskonałości Bożej na naszą biedną ziemię — miłość, którą Apostoł w liście do Koryntian wywyższa ponad wiarę, nadzieję i wiedzę; miłość, która buduje i wszystko wytrzyma, była motorem życia naszego wielkiego rodaka.

Nadprzyrodzona miłość Boga i bliźniego, czysta od egoizmu, jest treścią największego przykazania Bożego. Prawdziwa miłość Boga obejmuje wszystkie istoty połączone z Nim przez podobieństwo Boże i przeznaczenie do celu ostatecznego. (Thomas, Summa Theol. II-II, q. 23 a. 5. i II-II, q. 25 a. 1.) Tak więc miłość nadprzyrodzona jako najdoskonalsza przyjaźń, obejmuje Boga i wszystkich, którzy Go pojmować mogą, a więc nie tylko przyjaciół i krewnych, ale także obcych i nieprzyjaciół. W rzeczywistości bowiem, przez taką miłość. w bliźnim bywa Bóg miłowany, tak że przyjaciel do przyjaciela i człowiek do człowieka powiedzieć może: „miłuję w tobie Boga". Tak też jedynie zrozumieć można miłość do nieprzyjaciół, gdyż przez nią Bóg w nieprzyjacielu miłowany bywa. Miłość więc nadprzyrodzona przewyższa wszelką miłość naturalną, która sama w sobie dobra, odnosi się tylko do osobistych zalet i wartości umiłowanego.

Jeżeli więc w człowieku widzimy obraz i podobieństwo Boże, tedy działa w nas owa wielka i ofiarna miłość nadprzyrodzona, gotowa do najszlachetniejszych ofiar aż do poświęcenia życia nawet dla nieprzyjaciół. Według św. Tomasza, rówieśnika i współbrata św. Jacka, jest ona „miłością przyjaźni do Boga założoną na udzielaniu żywota wiecznego" (Cf. Sum. Theol. II-II q. 23 a. 5).

Zbyt pięknie te słowa brzmią, by mogły zdać egzamin życiowy — powie niejeden. A jednak: Czyż cały żywot św. Jacka nie jest żywą ilustracją tej miłości nadprzyrodzonej?

A czy za naszych czasów nie stał się tej miłości męczennikiem O. Maksymilian Kolbe?

A cóż powiemy o owym kapłanie polskim, który choć nie objęty deportacją, wkradł się we Lwowie do wagonu wysiedleńców, by razem z nimi dzielić los wygnańczy i służyć im na Syberii pomocą i pociechą religijną? Miłość wypływająca z intencji przychylenia braciom Nieba!

Do Rzymu pisał niedawno kapłan litewski w oczekiwaniu swego uwolnienia z obozu uralskiego, że wróci do Ojczyzny tylko po to, by się zaopatrzyć w książki i sprzęt liturgiczny, po czym na ochotnika wyruszy na Syberię, gdzie dusze bez kapłana giną. Ma on za sobą 60 lat życia, 17 lat niewoli, zasługiwałby na wypoczynek, a jednak rwie się do prac apostolskich.

Zmuszony względami oczywistymi do pominięcia nazwisk i funkcji państwowych przed wojną przez czterech kapłanów pewnej diecezji, mam zaszczyt (bo inaczej pisać nie mogę) podać o nich tyle, że wszyscy po odcierpieniu wyroku odmówili wyjazdu do Kraju. Pozostali w Azji sowieckiej, by poza ciężką pracą fizyczną poświęcić się dobru dusz i nawracaniu pogan. Tak ci polscy kapłani pracują nad nawracaniem Rosji sowieckiej, która tyle wyrządziła im krzywdy. „Miłość Boga i bliźniego — tak pisze do mnie ich dawny Przełożony — nie pozwala im pozostawić ludzi bez opieki duszpasterskiej".

Tak „buduje się w miłości" mistyczne Ciało Chrystusa (Ef. 4, 16), przez Polaków w Azji Centralnej; tak „moc w słabości się doskonali" (2. Kor. 12, 9).

II

Drodzy Bracia: Przełom dziejowy, który z dnia na dzień coraz wyraźniej się ujawnia, obejmuje, być może i dla Polski nowe horyzonty. Już dziś widać, że bolesna deportacja na początku wojny dokonała dwóch wielkich zadań: Nasi wygnańcy przypomnieli ludności sowieckiej obowiązek czci Bożej i udowodnili własnym odważnym przykładem jej możliwość mimo prześladowań siepaczy. „Szkody wyrządzonej Sowietom przez waszą religijność nie naprawimy przez 30 lat" — powiedział pułkownik NKWD pewnemu księdzu polskiemu. „Nie szkoda — lecz błogosławieństwo" odpowiedział kapłan.

Do Polski Wschodniej przesunięto miliony pogan. Jest to nowe zadanie polskie, by nawrócić i „oświecić tych, którzy się w ciemnościach i którzy mrokiem śmierci są spowici" (Łuk. 1, 79). Jest to misja podobna do dzieła św. Jacka.

Podobna chwila dziejowa wybiła przed czternastu wiekami, kiedy w Europie Południowej Słowianie zjawili się. Kościół rzymski po krótkim czasie zaczął ich nawracać; kościół bizantyjski natomiast nie zrozumiał godziny wezwania Ducha Świętego i ograniczył się do zwalczania tych, których ramię Opatrzności Bożej pod same bramy jego katedr podsunęło.

A może te czasy dziś wracają? Czy będziemy zdolni usłyszeć wołanie Ducha Świętego? Pójść za przykładem św. Jacka? Okazać się godnymi ducha rzymskiego — ducha miłości i apostolstwa?

Bóg, którego Opatrzność w zarządzeniach Swoich się nie myli, pragnie od nas okazania tej „miłości przyjaźni, która założona jest na pośredniczeniu żywota wiecznego".

Jest więcej niż pewne, że takiej miłości lęka się ateizm i będzie ją zwalczał. Opozycja przeciwko Kościołowi wypływa z dwóch źródeł. Pierwsze to źródło ludzkie. Spowodowani naszą postawą niekonsekwentną jako chrześcijan, naszym oportunizmem i brakiem miłości, wielu nie-katolików zarzuca Kościołowi, że nie zdołał nas natchnąć duchem Bożym, gdyż katolicy w życiu ekonomicznym, społecznym, małżeńskim mało lub wcale się nie różnią od dzieci świata.

Chrześcijanin stawia na j e d n ą kartę, ponieważ wierzy. Lecz czy my nie stawiamy często na dwie karty? — Chrystusa i świata? Znamy dobrze przykazania Boże, a jednak kusi nas myśl, że się pozbędziemy jakiegoś szczęścia, czy też pełnego rozwoju naszej osobowości, jeżeli wolę Bożą spełnimy dokładnie. Nie wiara więc, lecz zbyt mała wiara nasza wywołuje u wielu innowierców podejrzenie, jakoby nam wcale nie chodziło o Królestwo Boże, a tylko o politykę lub jakiś imperializm katolicki lub narodowy. Naprawa leży w samych sercach naszych.

O drugim atoli źródle sprzeciwu wiemy z Pisma Świętego, że nie jest nim człowiek, ale istota większa od niego, uwodziciel, żmija, kłamca od początku. Chrystus nazwał go księciem tego świata.

Musimy się nauczyć brać tego straszliwego wroga na serio. Inaczej nie zrozumiemy nic z tego, co w dziejach ludzkości się rozgrywa. Nie zrozumielibyśmy też tego właściwego sprzeciwu, jaki spotyka Kościół, a doszukiwalibyśmy się jakiejś wady konstrukcyjnej jakiegoś błędu w Kościele samym, jakiegoś braku unowocześnienia, jakiegoś stronnictwa antychrześcijańskiego, po usunięciu których wszystko byłoby już w porządku. Podobnie myślą komuniści twierdząc, że po zniszczeniu wroga klasowego pokój wieczny stałby się pewnością. Lecz „prowadzimy walkę nie z ciałem i krwią, ale przeciw książętom i władzom, przeciw mędrcom świata tych ciemności, przeciw złym duchom w przestworzach niebieskich" (Ef. 6, 12).

Źródłem właściwego sprzeciwu jest więc szatan, Antychryst. Jego celem jest zniszczenie królestwa Bożego i powstrzymanie jego rozwoju na ziemi". Z jego to sprzeciwem spotyka się „miłość, która jest węzłem doskonałości" (Kol. 3, 14). Sama bowiem natura ludzka nie jest tak zepsuta, by się zwracała przeciw objawom miłości. Przeciwnie: Niczego ona nie pragnie więcej jak miłości, a przed dowodem ofiarnej miłości chyli ona chętnie czoło. Tak przecież poganie zostali zniewoleni miłością pierwszych chrześcijan. Dzieła miłości rozumie każdy, nawet ten co nie ma wiary ani nadziei. A czyny miłości wyrastające z wiary są zdolne wyrównać przepaść między wiernymi a niewiernymi. Ich pięknością jest ów odblask prawdy, który ludzi na drogę prawdy prowadzi. Stąd też dzieła miłości nadprzyrodzonej są cierniem w oku zdecydowanych nieprzyjaciół Królestwa Bożego, którzy przeszkadzają z fatalnej konieczności wszelkiemu chrześcijańskiemu czynowi miłościwemu, jako że przezeń przemawia myśl Boża.

Drodzy Bracia, idźmy za przykładem św. Jacka, Polaka, wielkiego Apostoła Wschodu. W samej rzeczywistości geopolitycznej jesteśmy sąsiadami tej olbrzymiej ziemi, na której Bóg oficjalnie jest wygnańcem. Zwiemy siebie chętnie przedmurzem chrześcijaństwa— bądźmy jego bramą na Wschód. Decydująca chwila w dziejach nadeszła, a Bóg przygotowuje niesłychane dla świata niespodzianki. Ziemia spowita w mroku jak podczas zaćmienia słońca ma zajaśnieć blaskami ognia Ducha Świętego. Z kraju nieludzkiego przetworzyć należy ją w ludzki, z ludzkiego w Boży. Do tego potrzeba nie ogromnego funduszu pieniędzy, a ogromnego funduszu miłości.

Stoimy u progu wielkich dni. Idzie burza, wcale nie w postaci wojny, ale w postaci przewrotu, który sięgnie również po Zachód. Świat stary się wali, liberalizm umiera, a bolszewizm rozkłada się. Co postawimy na ich miejsce? Nie t.zw. „świat inny", jak słychać często, bo ten inny świat może być gorszy, ani t.zw. „przyszłość" nieokreśloną — jak inni bezradnie wyrokują — boć chyba przyszłość i tak nastąpi, ale zagadnienie na tym polega, jaka to będzie przyszłość. Niech nią będzie przyszłość w miłości, niech to będzie świat lepszy, il mondo migliore.

Z podziwem patrzę w Rzymie na nowy ruch zapaleńców Bożych, składający się ze studentów i robotników, z ludzi na stanowiskach wysokich i prostaczków, którzy wszystko w miłości nadprzyrodzonej poświęcają dla Boga. Nie będąc zakonem zachowują celibat, a żonaci żyją w czystości. Wszyscy składają cały majątek indywidualny do wspólnego skarbca na dzieła miłości. Ci „ogniskowcy jedności" — (taka jest ich nazwa) niemało już dokonali nawróceń wśród ofiar komunizmu. Są oni gotowi pomagać Wschodowi i poświęcić swe siły i życie dla Królestwa Bożego.

Nie brak takich dusz i w naszym narodzie. Ciemnym chmurom pędzącym ze Wschodu, przeciwstawimy Światło Chrystusa. Nowym posiewem miłości zdobędziemy dusze. A jako Polacy mamy przecież i tę przewagę, że naród nasz nigdy nie dążył do imperializmu, nie gnębił sąsiadów i nie kupował dla siebie pokoju za cenę innych narodów.

Takie jest, zdaniem moim, nowe zadanie Polski katolickiej na Wschód — „w miłości nadprzyrodzonej przyjaźni, założonej na pośredniczeniu żywota wiecznego". Tak też spełnimy misję św. Jacka przy pomocy Najświętszej Panny, Królowej Polski i Apostołów.

Arcybiskup Madytu Opiekun Emigracji

Rzym, 1957 r.

SENS I ROLA CIERPIENIA W ŻYCIU LUDZKIM

„Dlaczego tyle cierpień?" — powtarza się często nabrzmiałe bólem i skargą pytanie ludzkie. Lecz na próżno zwraca się ono do ziemskiej mądrości. Wobec cierpienia bowiem wykazuje ona swą krótkowzroczność i bezsilność. Nie potrafi wyjaśnić ani skąd ono pochodzi, ani wskazać do czego zmierza. Nikomu nie przynosi ulgi i nadziei w cierpieniu. A jeśli wraz z niewiarą próbuje zuchwale twierdzić, że szczęście doczesne jest ostatecznym celem człowieka, któremu należy się jedynie raj na ziemi, to tym bardziej pogrąża go w mrokach cierpienia.

Nic w tym zresztą dziwnego, że poza Bogiem nie ma prawdziwej odpowiedzi na cierpienie, a są tylko jej mizerne i powierzchowne namiastki. Całą bowiem prawdę o człowieku łącznie z jego tragiczną historią cierpienia zna jedynie Bóg. I tę prawdę On nam odsłonił. Znajdujemy ją w Piśmie św. i w Tradycji. Wyjaśnia ją w swym nieomylnym z woli Bożej nauczaniu Kościół Powszechny czyli Katolicki, dając nam możność poznania właściwych przyczyn i skutków, Boskich i ludzkich racji cierpienia.

Prawda więc o cierpieniu opiera się nie na jakiejś legendzie z zamierzchłych czasów, którą można dowolnie przyjąć lub odrzucić, lecz na powadze Boga objawiającego.

Otóż był czas, że cierpienie nie istniało w życiu ludzkim. Stwarzając człowieka, Bóg obdarzył naturę ludzką szczęściem wynikającym z przyrodzonych i nadprzyrodzonych Jego darów. Pierwsi nasi rodzice mieli ziemski raj, byli wolni od wszelkiego cierpienia i tę wolność mieli przekazać wraz z naturą ludzką swemu potomstwu. Lecz, niestety, nie przekazali nam w dziedzictwie najwspanialszych darów Bożych. Stracili je bowiem i dla siebie samych i dla wszystkich ludzi przez

nieposłuszeństwo Bogu. Sam człowiek zburzył swe szczęście, gdy uległ pokusie szatańskiej uniezależnienia się od Boga, gdy naruszył Boski porządek. Z jego buntu, z nadużycia wolności stworzenia przeciw Stwórcy zrodziło się cierpienie. I jest ono niemilknącym oddźwiękiem, nieuniknionym skutkiem tego zła, którego dopuścił się człowiek wobec Boga. Przez człowieka ziemia stała się „padołem płaczu", przez niego bowiem skażona grzechem pierworodnym natura ludzka podlega prawu cierpienia. Cierpienie i śmierć jest tą konsekwencją zła, którą Pismo św. nazywa „zapłatą grzechu".

Jakkolwiek tragiczną rolę odegrał grzech pierworodny w życiu ludzkim, to jednak byłoby z gruntu błędnym uproszczeniem zagadnienia, gdyby ktoś przypisywał mu odpowiedzialność za obecny stan cierpień ludzkości. Wyglądało by to bowiem tak, jakby tylko pierwsi nasi rodzice zawinili, a my niewinnie cierpimy i że istnieje tylko ich grzech pierworodny, a nie ma naszych grzechów uczynkowych, naszego nieposłuszeństwa i buntu przeciw Bogu. Poczucie sprawiedliwości domaga się oddania każdemu, co mu się należy. Grzech pierworodny sprawił, że rodzimy się w nieprzyjaźni z Bogiem, że dziedziczymy zrewoltowaną naturę ludzką, w której istnieje możliwość cierpienia i powodowania cierpień. A wiemy jak ludzie potrafią wykorzystywać swe naturalne możliwości nieposłuszeństwa Bogu, szkodzenia jedni drugim i powodowania cierpień. Nasze grzechy uczynkowe czyli osobiste są posiewem coraz nowych cierpień i nieszczęść. Adam Asnyk wyraża w pięknej strofie głęboką myśl o roli występków ludzkich w tworzeniu nieprzerwanego łańcucha cierpień:

„Na dzieci spada win ojcowskich brzemię,
Lud pokutuje za winy zbrodniarza,
Każde gwałcące sprawiedliwość plemię,
Cierpień i nieszczęść ludzkości przysparza."

Wiele naszych cierpień fizycznych i duchowych może znaleźć właściwe wytłumaczenie w nas samych, w różnych poczynaniach lub zaniedbaniach ludzkich, może być po prostu rezultatem jawnych lub Bogu tylko wiadomych grzechów uczynkowych buntowniczej woli ludzkiej. Dlatego niesłusznie nam się nieraz wydaje, że to Bóg zsyła na nas cierpienia. Wprawdzie bez Niego nic się nie dzieje, a więc i cierpienia dopuszcza On jako skutki ludzkiego zła, włącza je w plan swej Opatrzności, wyprowadza z nich podobnie jak ze zła wyższe dobro, posługuje się nimi, ale nie jest ich sprawcą. Cierpienia ludzie sami tworzą. Krzyż Chrystusowy i nasz jest ludzkim dziełem.

Nie wszystkie jednak cierpienia znajdują wytłumaczenie w ramach doczesności. I tu jest tajemnica Boskiej Sprawiedliwości i Miłości, tajemnica cierpienia związana z chwałą Bożą, i ludzką w życiu doczesnym i wiecznym, tajemnica cierpienia niewinnych z Chrystusem Panem na czele.

Kościół podobnie jak Chrystus traktuje cierpienie z pełnym poczuciem Boskiego i ludzkiego realizmu. I bynajmniej nie gloryfikuje cierpienia, jak błędnie sądzi niewiara. Choć świętym symbolem jego jest Krzyż Chrystusowy, Kościół nie jest religią cierpienia, nie jest wyrazem jakiejś chorobliwej idei biernego cierpiętnictwa, szukania cierpienia dla samego cierpienia jakby ono było jakimś dobrem samo w sobie. Czyni wszystkie wysiłki, by nieść ulgę ludzkiemu cierpieniu. Nakazuje i spełnia uczynki miłosierne co do duszy i co do ciała. Z całym poświęceniem roztacza opiekę nad ludźmi dotkniętymi jakimkolwiek nieszczęściem. Jego samarytańska usługa na drogach ludzkiego życia jest znana całemu światu. Naśladuje on wiernie swego Boskiego Mistrza, któremu żadne cierpienie ludzkie nie było obojętne. Kościół nie zabrania godziwych radości i dobrodziejstw życia. Co więcej, walczy o zmniejszenie wszelkiego cierpienia, nieustępliwie domagając się naprawienia krzywd indywidualnych i zbiorowych, przez usuwanie zła, z którego rodzi się cierpienie.

W katolickiej postawie wobec cierpienia nie ma ani rozpaczy, ani pogańskiego stoicyzmu. Uwzględnia ona bowiem nie tylko ludzkie, ale i Boskie jego aspekty. W ciemnościach cierpienia widzi to Boskie światło nadziei, które zapalił Chrystus Pan. Widzi w nim już nie tylko nieuniknioną karę za grzechy, ale i zbawienne lekarstwo dla zepsutej natury ludzkiej, czyli znajduje Boski sens cierpienia.

Sprawiedliwość Boża mogła zostawić człowieka na pastwę cierpienia i śmierci, gdyby nie przemówiła Miłość. Bóg nie odrzucił jednak człowieka na zawsze. Winę jego bowiem przyjął na siebie wraz z naturą ludzką Syn Boży. Jak mówi Pismo św.: „Bóg położył na Nim nieprawości nas wszystkich". A skoro dobrowolnie przyjął na siebie grzechy świata, by stać się przebłagalną i zbawczą Ofiarą, to też z poddaniem się woli Bożej jako niewinny cierpiał i umarł za winnych. Wpatrując się w Bosko-ludzką postać Jezusa Chrystusa widzimy, że nie było w Nim jakiegoś niezgodnego z naturą umiłowania bólu czy szukania cierpienia. Jego ludzka natura podobnie jak nasza odczuwała wielki lęk przed cierpieniem. Krwawy pot wystąpił na Jego święte oblicze w Ogrójcu przed Męką. „Ojcze mój, jeśli to być może, niechaj odejdzie ode mnie ten kielich" — wołał w modlitwie. Okazało się jednak, że inaczej niż przez cierpienie i śmierć nie można było naprawić nieobliczalnych skutków zła i umożliwić ludziom powrotu do utraconej Miłości.

Od czasów Męki Chrystusowej człowiek już nie cierpi samotnie i beznadziejnie. Między odkupioną ludzkością a Chrystusem istnieje wzajemna pomoc w dźwiganiu krzyża, uzupełnianie się w cierpieniu. Św. Paweł w liście do Kolosan 1, 24 pisze znamienne słowa: „I oto teraz raduję się w cierpieniach za was i dopełniam na ciele własnym tego, czego niedostaje cierpieniom Chrystusowym". Zrozumienie tych słów ułatwia nam św. Augustyn, gdy wyjaśnia, że „Cały Chrystus" jest dopiero w zjednoczeniu ze swoim Mistycznym Ciałem czyli Kościołem, którego On jest Głową. W zbawczej misji Chrystusowej wobec wszystkich pokoleń ludzkich konieczne jest współdziałanie Mistycznego Ciała z Głową. Do Chrystusowych więc cierpień o wartości nieskończonej wierni mają dołączyć swoje cierpienia jako udział w ekspiacji Chrystusowej. I w ten sposób cierpienia ludzkie spełniają również zbawczą rolę. A do cierpiących mówi Zbawiciel: „Błogosławieni, którzy prześladowanie cierpią dla sprawiedliwości, albowiem ich jest królestwo niebieskie".

Cierpienie przyjęte i wykorzystane w duchu Chrystusowym przynosi błogosławieństwo w naszym życiu przyrodzonym i nadprzyrodzonym. W przedziwny sposób potrafi Bóg posługiwać się cierpieniem jako niewątpliwym skutkiem zła i wyznaczać mu doniosłą rolę w służbie dobra. Obserwacja życia w obecnym stanie natury ludzkiej potwierdza, że pewne minimum cierpienia jest konieczne do właściwego rozwoju człowieka. Kto sam nie cierpiał, ten na ogół nie potrafi znaleźć w sobie współczucia i zrozumienia dla cierpiących współbraci, a wskutek tego nie okazuje im należnej pomocy. Cierpienie rozbija twardą skorupę egoizmu i stopniowo uszlachetnia człowieka. Rozprasza złudzenia pychy ludzkiej, a ukazuje rzeczywisty obraz świata. Otwiera oczy na te sprawy, których ludzie w pomyślności nie dostrzegają. Gdy w powodzeniu i pozornym szczęściu zatracają Boga, odnajdują Go w realnym cierpieniu. Jest ono jak ogień, który pali i daje światło głębszego poznania siebie i Boga. W atmosferze cierpienia dojrzewają wielkie charaktery, rodzą się wielkie szlachetne dzieła. Św. Teresa od Dzieciątka Jezus powiedziała, że „poprzez cierpienie Bóg pragnie założyć i ustalić swe Królestwo w duszach naszych."

W pieśni wielkopostnej śpiewamy: „W krzyżu cierpienie, w krzyżu zbawienie, w krzyżu miłości nauka". Aczkolwiek ten krzyż przygotowała Chrystusowi zła wola ludzka, to jednak cierpienie i śmierć Syna Bożego uczyniły go błogosławionym znakiem zbawienia, wyrazem tryumfu Boskiej Sprawiedliwości i Miłości. Cierpienie stało się Bosko-ludzką drogą do chwały. Dlatego nasz wieszcz, Zygmunt Krasiński wyraża religijną i narodową prawdę w następującej strofie:

„Bądź męstwem wielki — cierpliwością święty,
Bądź przed wrogami wolą nieugięty.
Nie wierz w podszepty pychy, ni wścieklizny.
Wierz tylko w słowa i przykład Chrystusa,
Tam w końcu tylko zwycięstwo, gdzie cnota —
Tam zmartwychwstanie tylko — gdzie Golgota".

Ks. mgr Kazimierz Sołowiej

ROSJA SOWIECKA

FURCEWA

Dnia 1 maja 1955 podczas parady na Krasnym Placu w Moskwie zdarzyła się rzecz nie notowana w annałach historii sowieckiej rewolucji:

W czasie, gdy przez sławny plac maszerowały kolumny moskiewskich robotników, mocno bijąc obcasami w ziemię, Chruszczow, który był od trzech miesięcy nieoficjalnym dyktatorem Rosji, zszedł z centralnej trybuny i podszedłszy do dalekich rządów widzów chwycił za rękę siedzącej tam sekretarki moskiewskiej Partii Komunistycznej i — wprowadził ją na centralną trybunę, gdzie stali najpierwsi z najpierwszych. Sekretarka Jekaterina Aleksiejewna Furcewa była nieznana dotychczas ogółowi. Ten spontaniczny gest wprowadził Furcewę na szczyty sowieckie. Już niebawem, bo w lutym 1956 roku widzimy ją na wszystkich fotografiach po prawej ręce Chruszczowa, w prezydium kongresu PKS. Obecnie Furcewa, jako kandydat do Centralnego Komitetu PK, została mianowana specjalną delegatką tegoż komitetu dla spraw młodzieżowych.

Kariera Furcewej jest o tyle niezwykła, że nie ma w niej wcale kryminału, a nawet zesłania. Jako 14-letnia dziewczyna, sierota, (jej ojciec zginął zdaje się w 1920 r.) wstępuje do Komsomołu w swym rodzinnym miasteczku Wyznyj Wołoczok, położonym niedaleko Moskwy. Koło 1928 roku jest robotnicą w przędzalni. Bierze czynny udział w pracy politycznej i zostaje jednomyślnie wybrana, czyli powołana przez Moskwę, na sekretarkę Komitetu Rejonowego PK w Kursku. Tam spada na nią zadanie dokształcania młodych robotnic, członkiń partii. Po roku 1930 — gdy ma około 20 lat — znajdujemy Furcewę na uniwersytecie Łemonossowa, w dziale technologii chemicznej. Zdaje się gdzieś koło 1937 roku wychodzi za mąż za niejakiego Firubina, obiecującego członka partii, pracującego w dyplomacji, który obecnie jest już posłem sowieckim w Belgradzie. Ma 14-letnią obecnie córkę Świetlanę. Gdy odwiedza Londyn, jest przyjmowana bardzo uroczyście (1956 r.), jako najbliższa zaufana Chruszczowa. Zadziwia Anglików bardzo porządnym ubraniem i formami towarzyskimi...

Kariera, jakby się wydawało, spokojna. Lecz godna podziwu, jeżeli się weźmie pod uwagę, że mówimy o kobiecie, która przebyła pierwsze spazmy rewolucji za Lenina, przeżyła Stalina i dożyła Chruszczowa, stale awansując.

Przypatrzmy się karierze Furcewy z punktu widzenia zmian, jakie następowały w sytuacji kobiet w Związku sowieckim.

Karol Marks pisze w swym manifeście (w 1818 r.), że lepiej zamiast ukrytej, wprowadzić jawną wspólnotę kobiet. Tym samym wprowadza zasadę likwidacji rodziny do przyszłego systemu komunistycznego.

Jego następca Engels potwierdza i rozwija teorię: „Rodzina i małżeństwo — powiada — to przeżytek. Rodzina jako komórka jest oznaką klasowości. Z chwilą wprowadzenia systemu komunistycznego i przejścia z własności prywatnej na państwową, dzieci nie będą więcej potrzebowały rodziny, gdyż opiekę nad nimi przejmie państwo.

Lenin jest ostrożniejszy. Gra na innych sentymentalnych skrzypcach: „Gospodarstwo i rodzina — głosi — dławi, ogłupia i poniża kobietę-człowieka..."

Nieco dalej idzie bliska mu Aleksandra Kołłantaj, komunistka raczej ckliwa. W swym ciekawym dla amatorów silnych wzruszeń seksualnych zbiorze nowel pt. „Drogi miłości" ustala pewne sprawy, które później zasłynęły pod nazwą „Teorii szklanki i wody". Stawia bowiem tezę, że miłość jest niczym innym, jak tylko pragnieniem. Gdy ktoś ma pragnienie, to bierze po prostu szklankę, napełnia ją wodą i pije. Obojętnie zaś z jakiego kurka pochodzi woda...

Trzeba przyznać, że ta teoria znalazła sporą ilość zwolenników wśród ówczesnej młodzieży. Sławne odezwanie się „ja choczu" z tego właśnie okresu się wywodzi. Teoria tak chwyciła, że Lenin zaczął mocno kręcić głową: „To trochę za mocne — mówił — dla głów naszej młodzieży. Szaleją może za bardzo...

Z teorią jednak trzeba było coś zrobić, jak i ze „świadomym macierzyństwem", które państwo na krótki czas oficjalnie uznało. Jak wiadomo, „świadome macierzyństwo" obchodzi się z reguły bez dzieci.

Natchniony, choć nie z ducha, poeta i pisarz Małaszkin pisze więc powieść, w której bohaterka Tania, po 22 rozwodach wpada w przepaść rozpusty i wśród dzikich orgii ginie marną śmiercią. Było to napisane w konsekwencji poważnego spadku urodzin w Rosji Sowieckiej. Z tych lat pochodzi także inna powieść. Gładkow ogłasza swój „Cement". Jest to historia żony, która w czasie, gdy mąż bije białogwardzistów, działa politycznie. Mąż wraca i chce żonę wprząc do jarzma domowego. Ale ona buntuje się, ucieka od męża. Dziecko tymczasem umiera w żłóbku. Głównym sensem tej powieści jest nie tyle niedola tego rodzaju dziecka, ile raczej matki, która ponad wszystko pragnie pracować, wolna, dla sprawy partii.

Był to bowiem okres rozpolitykowanych „Ninoczek" w skórzanych kurtkach. Lecz wówczas kobiety mogły sobie na to pozwolić, gdyż nie było jeszcze uprzemysłowienia wprowadzonego przez Stalina. Z uprzemysłowieniem Stalin zrównuje zupełnie kobietę z mężczyzną w jej obowiązku pracy poza domem. Ninoczka zdejmuje skórzaną kurtkę i bierze w rękę klucz francuski. Było to w okresie pierwszej pięciolatki i związanej z tym radosnej twórczości. Na konsekwencje nie czekało się długo. Z niektórych statystyk (ogłoszono ile 16-letnich rozpoczęło praktykę w latach czterdziestych) wynika, że naturalny przybytek ludności spadł w latach trzydziestych o 50% w porównaniu z przedwojennym! Z tych cyfr można także wyprowadzić inny wniosek, że pierwsza pięciolatka kosztowała Rosję 5 milionów nie urodzonych robotników, żołnierzy i mężów.

Przypuszczać należy, że te cyfry zbiegają się z owym sławnym spisem ludności w Rosji, których to wyników nie ogłoszono, zaś komisarzy przeprowadzających spisy — powystrzelano.

Na najwyższy rozkaz „wzorowa robotnica" została znów tedy przekształcona w „naszą wspaniałą płodną matkę". Entuzjazm od razu ogarnął literatów. Poeta Panfiorow w powieści „Bruski" wypowiada swe wzruszenia ustami bohatera powieści: „Gdy widzę ciężarną kobietę, mam chęć podejść do niej i rzec: ty jesteś ozdobą ziemi" i na dalszych stronach opisuje znakomite skutki wezwania Stalina: „Cud zdawał się urzeczywistniać. Jakby na rozkaz, kobiety zaczęły wydawać na świat dzieci. Sekretarze sowietów wiejskich zalegali z wpisywaniem do ksiąg stanu urodzin, tyle ich było. Istny potop!..." Na szczęście nie wchodzi w inne szczegóły tego „cudu".

Niebawem Stalin, by całkowicie pogrzebać skórzaną kurtkę i rewolwer u pasa „Ninoczki", wciąga kobietę na jeszcze wyższy piedestał: „Bohaterki Macierzy". Ten oficjalny tytuł, wraz z odpowiednią pensją, był co prawda zastrzeżony dla matek co najmniej dziesięciorga dzieci...



Jekatierina Aleksiejewna Furcewa

Państwo wreszcie przywraca oficjalnie rodzinę, nawet podkreśla jej znaczenie. W praktyce jednak bohaterska macierz nadal pozostała w fabryce. Do tej harówki doszła tylko inna: harówka domowa. Zamiast jednej, kobieta nakładała z łaski „Słoneczka", dwie obroże na siebie: domową i fabryczną, znosząc ciężar stachanowszczyzny. Kobieta-człowiek, kobieta-matka i kobieta bohaterska macierz — po powrocie z fabryki, gdzie musiała wraz z innymi odwalać nadgodziny, po nakarmieniu (jeżeli było czym!) męża i dzieci, musiała o czwartej rano stać już w ogonku po chleb, zaś o ósmej być przy warsztacie. Po tej pracy znów kołowrot gotowania, niańczenia, mycia, cerowania — i znów ogonek...

Czy kobieta ma pełne prawa w Rosji? Należy wątpić. Cyfry mówią, że jakkolwiek 45% robotników na roli i w przemyśle sowieckim stanowią kobiety, to jednak tylko 2% zasiada na najwyższych stanowiskach kierowniczych. Nieco lepiej dzieje się w dziale naukowym. 36% studentów to kobiety. Również dość wysoki ich procent jest wśród profesorów i wykładowców. Jednak by dojść do tego — trzeba studiować, by studiować — trzeba mieć czas. Gdy raz kobieta rosyjska ma rodzinę na karku — jest stracona. Możemy tedy stwierdzić, że niewątpliwie:

— kobieta rosyjska jest nadal uciemiężona, może nawet bardziej, niż była np. za caratu;

— że tylko żony urzędników mogą bez trudności pełnić obowiązki żon i matek;

— że tylko zupełne wyjątki mogą osiągnąć ideał kobiety, matki i pani domu, oraz znaleźć czas na kształcenie się, czy wreszcie, obok swych obowiązków domowych móc pełnić jakieś funkcje publiczne.

W każdym razie ideał Engelsa czy Lenina zasuwa się w mrok i w tej chwili z ciemności wyłania się obraz rodziny ze służącą...

Wspomnieliśmy o roli „pani domu". Tak! Pani domu. Bowiem w ostatnim czasie, ściśle mówiąc od chwili wizyty Jowanki Tito w Moskwie, utarło się, że na przyjęciach oficjalnych pojawiają się kobiety, jako ż o n y, nie jako urzędniczki, zaproszone z racji swe-

go stanowiska. Drobny szczegół historyczny: Mikojan pojawił się na jednym z takich przyjęć w białym smokingu.

Rodzina i dom, a więc dzieci i młodzież. Rodzice kierują dziećmi. To prawo, jak stwierdzono oficjalnie, nadało im państwo. Niestety, wszystkie te zmiany nie zdołały ani powstrzymać w dalszym ciągu niskiego przyrostu ludności, ani też pokierować dorastającą młodzieżą. Państwo zastosowało półśrodki, w dodatku dostępne tylko wybranym, uświadomienie mas przyniosło też ze sobą środki antykoncepcyjne (jakkolwiek są srogo zakazane). Brak dostatecznych warunków mieszkaniowych w średniej sferze urzędniczej oraz w masach wygania młodzież dorastającą z domu. Rozrywki szukają młodzi poza domem. Życie w Sowietach jest przeraźliwie jednostajne. Młodzież się nudzi. W konsekwencji buntuje się. Moskwa doskonale zdaje sobie z tego sprawę, że nie faszystowsko-szpiegowskie ośrodki, lecz właśnie młodzież i to młodzież wychowana już od dziecka w systemie sowieckim, wywołała powstania na Węgrzech czy w Polsce i próbowała otwarcie występować przeciw systemowi nawet w Moskwie. Młodzież rosyjska nie ma moralnego kręgosłupa — twierdzą znawcy. Jest zupełnie bezideowa lub — powraca do religii... Prasa otwarcie przyznaje, że cała propaganda antyreligijna nie dała rezultatów. Kościoły, czy raczej cerkwie, są pełne. Zapełnia je — młodzież.

Młodzież chce się wyrwać z pustki wiecznych sloganów bez znaczenia, z pustki wiejącej z grobów Stalina i Lenina, z wszystkiego, co jest nudne... nudne... nudne. W małym miasteczku rosyjskim życie jest rozpaczliwie jednostajne. Po szkole, czy po pracy, dosłownie nie wiadomo co robić, dokąd pójść, gdzie się rozerwać, zabawić. W końcu trafia się do cerkwi.

„Komsomolska Prawda” podaje: Korespondent widzi dwóch komsomolców stojących u kruchty kościelnej, zapatrzonych w procesję, która się odbywa ze zwykłą w kościele prawosławnym paradą, wśród pięknych śpiewów. Przystępuje do nich i pyta: „Co wy tu robicie?” Jeden z nich odpowiada: „Patrzymy”, drugi dodaje: „Czy to nie lepsze niż teatr?”

W wyższych sferach w Moskwie nie dzieje się inaczej. Wybryki synów i córek najwyższych urzędników zapełniają szpalty prasy. „Trud” urządził swego rodzaju ankietę między młodocianymi gośćmi kawiarni „Harfa”. Prowadzący ankietę pytał: „Czego się spodziewają od życia?”. „Prawdziwe życie — rzekła jedna dziewczyna — to modne suknie, jak najwięcej bogatych znajomych zapraszających do dobrych restauracji, lecz przede wszystkim ruch... muzyka... światła... walc!”

Chruszczow, po awanturach moskiewskich, w przyspieszonym trybie wysłał 12.000 młodych obojga płci na Syberię i zabierał się do dalszych zsyłek. Lecz tu zaprotestowała Furcewa. Przedstawiła sprawę z innego punktu widzenia. Zsyłka młodzieży — twierdzi ona — doprowadzi w Moskwie do zahamowania ruchu budowlanego. Chruszczow musiał ulec. W tej chwili toczy się dyskusja nad tym, czy dzieci i młodzież mają uczęszczać do szkoły z domu, czy też należy cały przychówek skoncentrować w specjalnie stworzonych szkołach internatowych. Furcewa jest przeciwniczką masówki w takich szkołach...

Jak się te sprawy ułożą, jeszcze nie wiadomo, pewne jest jednak, że przyrost naturalny nadal nie wzrasta i jak dotychczas młodzież odchodzi od komunizmu zarówno w Rosji, jak i w krajach satelickich.

M. Lis.



Składanie przez Niemców kwiatów na stanowiącym zbiorową mogiłę miejscu byłego obozu koncentracyjnego w Bergen-Belsen jest aktem godnym uwagi, choćby nawet i nie zawsze był on poparty odpowiednimi uczuciami. Trudno zresztą sobie wyobrazić, żeby ludzie sypiący kwiaty na grób w Bergen-Belsen nie myśleli o tej i o innych potwornych zbrodniach hitlerowskich Niemiec... Na wezwanie hamburskiego stowarzyszenia chrześcijańsko-żydowskiego o wydelegowanie stu przedstawicieli młodzieży do Bergen-Belsen — zgłosiło się ponad tysiąc młodych Niemców i Niemek i zasypało zbiorową mogiłę kwiatami. Oby te kwiaty na uroczystości w Belsen-Bergen, otwierającej niemiecki tydzień braterstwa, stały się istotnie symbolem braterstwa i nowych, odmienionych, Niemiec.

NIEMCY

KU POTĘDZE MILITARNEJ

Główny dziennik Niemiec zachodnich, hamburska „Die Welt” (z dnia 16 marca) zamieszcza artykuł wstępny, w którym bez ogródek stwierdza, że Niemiecka Republika Związkowa staje się największą siłą wojskową w Europie zachodniej i środkowej i że wszelki dotychczasowy opór ze strony mocarstw zachodnich przeciw temu stanowi rzeczy ustał.

„Przy końcu tego roku — czytamy w artykule — w Europie będzie stacjonowało mniej wojsk brytyjskich niż kiedykolwiek od osiemnastu lat. Równocześnie najlepsze dywizje armii francuskiej rozproszą się po miastach i wsiach algerskich. Także w Paryżu mówi się o wojsku zawodowym, to jest o dalszym zmniejszeniu ilości wojska. Gdyby nawet do tego nie doszło, armia francuska pozostałaby na terenie Europy słabsza, niż od wielu dziesięcioleci.

„Równocześnie — stwierdza „Die Welt” — zachodnio-niemiecka Bundeswehr rozbudowywana jest solidnie i planowo. Nowy minister obrony nie uległ urokowi cyfr, jak jego poprzednik, ale z pewnością nie oznacza to, że pogodziłby się z armią słabą. Z miesiąca na miesiąc ciągle dodawany jest kamień po kamieniu do rosnącego gmachu. Każdy widzi nadchodzący dzień, w którym Niemcy, nie, sami tylko Niemcy zachodni będą posiadali najsilniejszą armię w Europie środkowej i zachodniej. Nie jest to żadna tajemnica wojskowa... Za granicą rozprawia się ciągle na ten temat. Nie jest także trudno wyliczyć sobie siły wojsk. Cyfry są znane wszystkim.”

Zachód przestał się tym przejmować. W tym miejscu „Die Welt” stwierdza — niewątpliwie z radością, choć tego wyraźnie nie wypowiada — że w przeciwieństwie do okresu republiki wejmarskiej, kiedy to było nie do pomyślenia, narody Zachodu nie przejmują się w ogóle tym, co się w Niemczech dzieje.

„Przy studiowaniu dziejów republiki wejmarskiej — pisze autor artykułu — szczególnie dręczące wrażenie sprawiało, gdy się widziało jak ciężko było rządom niemieckim choćby trochę podwyższyć siłę liczebną Reichswehry, ustaloną w Wersalu. W dziesięć lat później hitlerowska Wehrmacht istotnie podbiła połowę Europy i powaliła wielkie państwa. Gdyby kto doświadczenia wejmarskie przeniósł po prostu na Republikę Związkową, sądziłby niewątpliwie, że mocarstwa zachodnie będą namiętnie próbowały przeszkodzić zbudowaniu przez Niemcy nowej siły wojskowej. Stało się coś wręcz odwrotnego. Prezentuje się nam na tacy (w oryginale: „na srebrnym talerzu”) to, co wedle tylu uroczystych zaklinań się nie miało już nigdy powrócić. Nie można tego pojąć samym tylko czystym rozumem. Znowuż pokazuje się to, cośmy mogli nieraz śledzić w ciągu tych ostatnich lat, mianowicie, jak wiele z dawnych wyobrażeń zostało całkowicie wyjałowionych i wypróżnionych. Nie mamy także do czynienia z faktem, by stara odraza do niemieckiego hełmu stalowego ścierała się z nową przyjaźniejszą oceną. Rzeczywistość jest jeszcze bardziej zdumiewająca. Najwidoczniej dawne pojęcia zobojętniały. W osobliwy sposób są wypychane ze świadomości narodów. Nie są one zgoła przezwyciężone, tylko stały się nudne. Ulegają zapomnieniu.”

Co się stało Francuzom? Znamienne są uwagi artykułu na temat obecnego stanowiska Francji i Anglii. „U Francuzów — czytamy — pokazują się jeszcze ze zrozumiałych przyczyn w prasie i w przemówieniach przejawy dawnej wrażliwości. Nie mogą one jednak poważniej wpływać ani na politykę oficjalną, ani na wrażliwość narodu. W przeciwnym razie dywizje algerskie zostałyby jak najszybciej odwołane do kraju. Jeśli chodzi natomiast o Brytyjczyków, to odczuwają oni ulgę z powodu każdego nowego żołnierza niemieckiego. Ponowne uzbrojenie Niemiec — jak mniemają — pozwala im zwalniać ich własnych żołnierzy. Wzruszająca jest otwartość, z jaką okolicznościowo wypowiada się także, że duże niemieckie siły wojskowe kosztować nas będą sporo pieniędzy i pewną ilość sił roboczych, przez co utrudnią naszą „ofensywę eksportową”. Społeczeństwa zarzekają się po prostu, by czuły się zagrożone przez Niemcy. Ogólnie biorąc, odczuwa się w Paryżu i Londynie żywe zadowolenie, że wkrótce już znowu będzie pod bronią kilka setek tysięcy ludzi przed którymi ongi wzdrygały się wielkie narody.”

Stanowisko społeczeństwa niemieckiego. Ostatnia część artykułu omawia postawę społeczeństwa niemieckiego wobec procesu remilitaryzacji i akceptuje ten fakt postawy Zachodu. Zdaniem „Die Welt” nie ma z tego powodu fanfar tryumfalnych wśród kierowniczych czynników politycznych i wojskowych niemieckich, ani w opinii publicznej Niemiec zachodnich. „Widzi się po prostu nieunikniony proces, który wyrósł nie z życzeń narodu niemieckiego, ale w wyniku osobliwego rozwoju sytuacji światowej.”

Tak pisze „Die Welt”. Przypomnijmy, że w chwili obecnej rzeczy te istotnie się tak przedstawiają. Ale doświadczenie historyczne wykazuje, że z chwilą, kiedy Niemcy poczują swą istniejącą już siłę — a to jeszcze teraz nie nastąpiło — w psychice ich budzą się niebezpieczne instynkty. Zwykle też znajdują się wówczas przywódcy, którzy instynkty te potrafią zorganizować i użyć je do akcji. Czyżby i teraz znowu rzeczy miały potoczyć się tym samym torem? Artykuł w „Die Welt” nie daje żadnych przesłanek do odpowiedzi na to pytanie.

Stanowisko prasy Zachodu. Dzienniki państw zachodnich unikają, jak dotąd, nieprzyjemnych stwierdzeń, że armia Niemieckiej Republiki Związkowej wkrótce już będzie najpotężniejszą siłą zbrojną w Europie środkowej i zachodniej, pomijając zwłaszcza wszelkie zestawienia porównawcze. Londyński „Daily Telegraph” (z dnia 22 marca), podając oświadczenie niemieckiego ministra obrony Straussa, podkreśla, że w myśl obecnych planów przewiduje się utworzenie w czasie do 1 lipca 1958 „tylko” siedmiu „konwencjonalnych” dywizji. Jeśli chodzi o późniejszą przyszłość — powiedział min. Strauss — decydować tu będzie rozwój nowych broni i wyposażenia.

Spośród tych siedmiu dywizji trzy będą złożone z piechoty, dwie dywizje będą pancerne dwie spadochroniarzy, wreszcie jedna do walki w terenie górskim. Ogółem obejmowały on będą 78.000 ludzi. Łączna zaś siła armii lądowej, marynarki i lotnictwa Niemieckiej Republiki Związkowej będzie wynosiła za rok 165.000 ludzi.

Min. Strauss podkreślił, że dążeniem rządu w Bonn jest stworzenie „możliwie najbardziej nowoczesnej armii”. Znając niemiecką „gruntowność” można wierzyć temu zapewnieniu. Strauss zaznaczył również, że nie można było uniknąć przymusowego poboru, gdyż ze względów technicznych nie do pomyślenia jest siła zbrojna czysto zawodowa. Co się tyczy organizacji armii, to prawdopodobnie stworzone będą „zespoły bojowe” wedle wzoru grup o sile jednego batalionu, które stanowią podstawę nowych amerykańskich dywizji „pentomicznych” („Pentomic”). Schemat, sporządzony przez niemieckie ministerstwo obrony, przewiduje dywizje, złożone z 6.000 ludzi.

Obecność armii zachodnio-niemieckiej — oświadczył Strauss — jest konieczna celem odstraszenia potencjalnego agresora przeciw NATO. „Jeśli Brytyjczycy i Francuzi się usuną, konieczność ta stanie się jeszcze bardziej żywotna.”

Składy pocisków atomowych w Niemczech zachodnich. Duże odgłosy w prasie zachodnio-niemieckiej wywołało niedawne oświadczenie dowódcy drugiej alianckiej taktycznej floty powietrznej w Niemczech Earla of Bandon. Powiedział on przedstawicielom prasy holenderskiej, że czwarta aliancka taktyczna flota powietrzna w Niemczech południowych posiada od pewnego czasu bomby atomowe i samoloty, mogące nosić te bomby. Earl of Bandon podkreślił, że w ten sposób urzeczywistnione wreszcie zostaje uzbrojenie atomowe. Także oddział stacjonujących w Niemczech północnych brytyjskich bombowców Canberra ma zostać — wedle jego oświadczenia — wyposażony w bomby atomowe. Bandon odmówił jednak podania terminu, kiedy to się stanie.

Zaraz po ogłoszeniu tego oświadczenia główna kwatera drugiej taktycznej floty powietrznej NATO sprostowała, że Earl of Bandon nie mówił o tym, jakoby na terenie Niemieckiej Republiki Związkowej znajdowały się bomby atomowe. Chodzi tu o pociski atomowe, które porównać można z pociskami amerykańskiej artylerii atomowej. Nie są to bomby, ale broń taktyczna; pociski takie mogą być przy przy współdziałaniu wojsk lądowych zestrzeliwane z samolotów. Działanie ich nie jest tak silne jak bomb atomowych. Podczas gdy amerykańskie siły lotnicze posiadają już takie pociski, to brytyjskie bombowce Canberra zostaną w nie zaopatrzone w bliskiej przyszłości. Ze swej strony kwatera główna NATO odmówiła, przez usta swego oficera prasowego, jakichkolwiek komentarzy do oświadczenia Earla of Bandon. „Wszyscy wiedzą, że czwarta taktyczna flota powietrzna może posłużyć się bombami atomowymi, ale nikt nie może podać, czy posiada ona już teraz bomby atomowe.”

Jak podaje prasa niemiecka, ze strony czynników oficjalnych Niemieckiej Republiki Związkowej nie padły żadne informacje na ten temat, ale w Bonn nikt nie ma wątpliwości, że na terenie Niemiec zachodnich znajdują się składy amunicji atomowej w postaci bomb lotniczych lub głowic dla rakiet. Cytowana już wyżej „Die Welt” poświęca tej sprawie artykuł pt „Wstrząs”, w którym na zakończenie pisze: „Świadomość tego (wśród szerszych warstw społeczeństwa) rozproszy niektóre złudzenia, jakie jeszcze można było żywić co do powagi i twardości naszych czasów”.

ŻYCIE MIĘDZYNARODOWE

ROSJA

SOWIECKIE GROŹBY

Fachowy dwugłos zwrócił uwagę świata na nieprzerwane sowieckie zbrojenia o charakterze napastniczym. Admirał amerykański Stump z okazji konferencji państw Paktu Płd.-Wsch.-Azjatyckiego w Canberze w Australii i admirał Evans Lombe na zebraniu Ligi Morskiej w Londynie — mówili o rozbudowie floty podwodnej Związku Sowieckiego.

Rosja ma dziś ponad 500 łodzi podwodnych i to najnowocześniejszych, o dużej sile ognia i zasięgu 20.000 mil morskich. Program rozbudowy dorzuca 60 - 70 łodzi corocznie. 30 dalekomorskich statków-cystern i statków-warsztatów zapewniają sowieckiej flocie swobodę manewru na okresy do 6 miesięcy na morzach świata.

Amerykański sekretarz stanu Dulles na konferencji SEATO ostrzegł kraje Dalekiego Wschodu przed sowieckim pogotowiem wojennym. Jakby echem jego słów jest przemówienie marsz. Żukowa w Moskwie na wiecu „aktywistów” partyjnych czerwonej armii: „...w konflikcie światowym bronie atomowe zostaną z pewnością użyte... Nie istnieje na globie ziemskim miejsce, gdzie by się mógł ukryć agresor.(?) Siły zbrojne sowieckie, lądowe i powietrzne, są zdolne do zadania ciosu decydującego każdemu wrogowi, gdziekolwiek by się znajdował...”

AFRYKA

RELIGIA I RASIZM

List zmarłego nagle 72-letniego anglikańskiego arcybiskupa Kapstadtu dr. Claytona, do premiera Unii Południowo-Afrykańskiej Strijdonia, stał się aktem oskarżenia polityki rasistowskiej rządu. W imieniu „ławy biskupów” anglikańskich dr Clayton odmawia rządowi posłuszeństwa w sprawie ustawy zabraniającej nabożeństw „mieszanych” w niektórych świątyniach i wymagającej zezwoleń administracyjnych na nabożeństwa z udziałem Murzynów.

Arcybiskup — obrońca „wolności wyznania”, zażądał w testamencie, aby jego „popioły zostały zakopane tam, gdzie nie istnieje „kolorowa przegroda”, a nie na cmentarzu zarezerwowanym dla białych...”

Synod Holenderskiego Kościoła Reformowanego również potępił politykę rasistowską rządu: „...w oczach chrześcijanina nie ma gorszego przestępcy, niż człowiek, który uciska innych...”

BLISKI WSCHÓD

GAZA

Rozwój kryzysu sueskiego i przyhamowanej wojny izraelsko-egipskiej naraża na szwank autorytet Narodów Zjednoczonych, a płk. Nassera stawia coraz wyraźniej w stan oskarżenia wobec bezstronnej opinii międzynarodowej. Egipt straci resztki współczucia jako ofiara agresji Izraela oraz „policyjnej operacji” francusko-brytyjskiej, jeżeli będzie odmawiał wszelkiej współpracy w zlikwidowaniu sporów.

Wielka Brytania, Francja i Izrael dały już dowody podporządkowania się uchwałom ONZ. Izrael wycofał się z terytorium Gazy, w przekonaniu, że siły UNEF-u dopilnują, aby Gaza nie stała się na powrót bazą wypadową

egipską, a uchwały ONZ i zapewnienia amerykańskie gwarantują wolność żeglugi w kanale sueskim i nie dopuszczą do ponownej blokady przez Egipt cieśniny tirańskiej i zatoki Akaba.

Egipt natomiast pośpieszył się z objęciem administracji w Gazie, zamierza wprowadzić tam wojsko, odmawia zgody na kompromisowe propozycje w sprawie opłat za przepływ statków przez kanał (50% dla Egiptu a 50% do Banku Świata), zapowiada dalszą blokadę Izraela i nie dopuszcza lądowania posiłków kanadyjskich UNEF-u. Równocześnie sprzęt zbrojeniowy sowiecki znowu dociera do Egiptu.

Ta postawa wymaga od Narodów Zjednoczonych zajęcia wobec Egiptu tak samo zdecydowanego stanowiska, jakie zajęto wobec Izraela, a Ameryka nie może dopuścić, aby zapewnienia prezydenta Eisenhowera o „energii przyjaciół i obrońców sprawiedliwości" stały się pustym frazesem.

BERMUDY

Najważniejszym osiągnięciem spotkania Eisenhower-Macmillan na Bermudach jest publiczne i głośne zamknięcie okresu, w którym wydawało się, że Stany Zjednoczone i Wielka Brytania przestały współpracować na skutek tarć spowodowanych przez francusko-brytyjską agresję w Egipcie. W ten sposób propaganda sowiecka traci możliwość wygrywania rozbicia w przymierzu zachodnim.

Poza nawiązaniem bezpośredniego i szczerze przyjaznego kontaktu osobistego oraz usuwaniem powstałych zadrażnień, załatwiono na konferencji kilka ważnych spraw konkretnych, choć zostało jeszcze sporo zagadnień, które wymagają dalszego uzgadniania. Do nich należą przede wszystkim: rozwiązanie ostateczne kryzysu na Środkowym Wschodzie, polityka zachodnich mocarstw na Dalekim Wschodzie, jak również sprawa udziału Wielkiej Brytanii w wojskowym wysiłku Paktu Północno-Atlantyckiego.

Doniosłe znaczenie ma decyzja Stanów Zjednoczonych dołączenia do komitetu wojskowego Paktu Bagdadzkiego. Powstaje w ten sposób łączność między bagdadzkim systemem bezpieczeństwa a „doktryną Eisenhowera" i umacnia się w tym obszarze front pokoju, ładu międzynarodowego i gospodarczego rozwoju, będący realną zaporą dla sowieckiej dywersji i podżegania do wojny. Uzgodniono zamierzenia budowy rurociągu naftowego z Iraku przez kraje paktu, do jednego z portów tureckich.

Chociaż różnice stanowisk amerykańskiego i brytyjskiego w odniesieniu do kryzysu sueskiego nie zniknęły, zbliżenie między tymi stanowiskami powoduje sam płk Nasser swoją awanturniczą polityką. Ameryka podtrzymuje zdecydowanie zasadę wolności żeglugi na kanale.

Zawarto porozumienie co do współpracy w dziedzinie produkcji broni jądrowych. Stany Zjednoczone zobowiązały się dostarczyć Wielkiej Brytanii pociski kierowane z głowicami atomowymi.

Demokracje anglosaskie podkreśliły swoje pokojowe stanowisko zwracając się do Związku Sowieckiego z propozycją porozumienia w sprawie próbnych wybuchów bomby wodorowej; informowanie Narodów Zjednoczonych o próbach i wymiana obserwatorów byłyby wstępnymi krokami na drodze do ograniczenia złowrogich eksperymentów. Sowiety odrzuciły tę konkretną propozycję.

Projekty brytyjskie poparcia integracji gospodarczej w Europie zachodniej i współdziałania z Europejskim Wspólnym Rynkiem i Wspólnota Energii Atomowej dla Celów Pokojowych poprzez utworzenie Strefy Wolnego Handlu, spotkały się z żywym uznaniem Stanów Zjednoczonych.

Postanowiono rozwijać stosunki, przede wszystkim kulturalne, z krajami Europy środkowo-wschodniej, z tymi mianowicie, które wykazują większą niezależność w nawiązywaniu kontaktów z Zachodem. Stanowisko w tych sprawach, jak również w sprawie pomocy gospodarczej dla Polski odznacza się niestety brakiem śmiałych posunięć i grzeszy niedostatkiem wyobraźni.

SABOTAŻ EUROPY

Nota sowiecka, proponująca utworzenie pan-europejskiej organizacji współpracy gospodarczej i równocześnie atakująca, w przeddzień ich podpisania, traktaty ustanawiające Wspolny Rynek i „Euratom" — spotkała się ze zdecydowaną odprawą rządów i opinii w wolnych państwach Europy.

Oświadczenia oficjalne i jednomyślne stanowisko Europejskiej Konferencji Ekonomicznej w Paryżu, uznały, że wystąpienie sowieckie stanowi dywersyjne posunięcie propagandowe, którego celem jest sabotaż osiągnięć gospodarczej integracji Europy, jakimi są oba traktaty. Odrzucono również propozycje sowieckie jako usiłowanie, by pod płaszczykiem współpracy ekonomicznej uznać zdobycze sowieckiego kolonializmu w Europie środkowo-wschodniej.

Słuszne stanowisko demokracji zachodnich w tej sprawie, jak i poprzednie odrzucenie obłudnej noty sowieckiej domagającej się zneutralizowania Środkowego Wschodu, dowodzą pogłębiającej się świadomości celów polityki Związku Sowieckiego. Pozytywnym uzupełnieniem tego stanowiska byłaby pomoc gospodarcza dla tych narodów, które — jak Polska — usiłują chociaż częściowo uniezależniać się od dyktanda Moskwy.

Polacy w pracach Roku Geofizycznego

(**Dokończenie ze str. 9**)

przykładach różnorodność jej zainteresowań, jak też poważne jej osiągnięcia.

Przejdźmy do Międzynarodowego Roku Geofizycznego. ŻYCIE już pisało zarówno o historii badań międzynarodowych, jak też o pracach, które różne państwa będą dokonywać w okresie drugiej połowy roku bieżącego i całego roku 1958.

Badania wymagające sum milionowych będą przeprowadzane przez państwa bogate ze Stanami Zjednoczonymi i Rosją na czele, badania wymagające mniejszych nakładów będą podejmowane przez państwa mniejsze, w ich liczbie również przez Polskę.

Choć większość prac badawczych skupia się wokół bieguna południowego, to będą one przeprowadzane na całym świecie. I tak: te prace, których podjęła się Polska, będą dokonywane tak w samej Polsce, jak też w dwu miejscach odległych od Polski, a mianowicie na północy, na wyspie Spitsbergen i na południu w Wietnamie.

W r. 1955 przy tzw. Polskiej Akademii Nauk powołano specjalną komisję, która miała ustalić, czy i w jakich rozmiarach Polska weźmie udział w Międzynarodowym Roku Geofizycznym. W maju 1956 roku zapadła ostateczna decyzja, że Polska udział weźmie. Uczeni polscy uczestniczyli następnie w konferencji arktycznej, która odbyła sę w Sztokholmie, oraz przeprowadzili rozmowy z władzami Norwegii, w wyniku których uzyskali zgodę tego państwa na ekspedycję polską do Spitsbergen.

Między 3 sierpnia a 18 września 1956 roku udała się na Spitsbergen polska grupa rekonesansowa z dr. doc. Stanisławem Siedleckim na czele, by dokonać prac wstępnych, stanowiących przygotowania do wyprawy właściwej w roku bieżącym i następnym.

Polska baza na wyspie Spitsbergen znajduje się nad fiordem Hornsund i zatoką Isbjörnhamu.

Dlaczego wybrano właśnie Spitsbergen? Ponieważ jest to miejsce, choć stosunkowo daleko wysunięte na połnoc, to jednak łatwo dostępne i znane Polakom z wypraw poprzednich.

Warto przypomnieć nasze wyprawy na północ. I tak: w roku 1932/33 C. Centkiewicz udaje się na Wyspę Niedźwiedzią (Bear Island), zaś w roku 1934 odbyła się pierwsza polska wyprawa geologiczno-glacjologiczna na Spitsbergen. W dwa lata później zorganizowano drugą wyprawę na tę samą wyspę, a w roku 1938 trzecią. Poza tym odbyła się wyprawa glacjologiczna w roku 1937 na Grenlandię.

Zainteresowanie Polaków północą stoi w ścisłym związku z przeszłością geograficzną naszego kraju, wielkimi zlodowaceniami, których pozostałości pokrywają jeszcze w 75 procentach nasze ziemie. Ażeby wytłumaczyć problemy polskie związane z okresem dyluwialnym, musimy poznać podobne zjawiska na północy, tym bardziej, że zaznaczają się tam one daleko silniej niż w Polsce.

Spitsbergen może zainteresować również przyrodników swoją fauną morską i lądową.

Jak wygląda polska wyprawa do Wietnamu?

W lipcu 1956 roku Polacy otrzymali zaproszenie od władz Republiki Wietnamskiej na urządzenie w Wietnamie swej bazy naukowej w okresie Roku Geofizycznego. Uczeni polscy wzięli następnie udział w konferencji w Moskwie, w dniach 20-24 sierpnia 1956 r., urządzonej pod nazwą Konferencja Regionalna krajów Europy wschodniej i Azji południowej i środkowej.

Na konferencji zatwierdzono plan obsadzenia przez uczonych polskich stacji tropikalnej na 110 południku długości wschodniej. 20 września 1956 roku udała się do Wietnamu grupa uczonych polskich, która po przeprowadzeniu tam prac, powróciła do Polski 8 grudnia tegoż roku. Była to grupa rekonesansowa, gdyż badania właściwe — jak wiemy — rozpoczną się dopiero w drugiej połowie 1957 roku.

Na czele grupy stał mgr Roman Teisseyre, naczelnik wydziału sejsmiki w Instytucie Geofizyki Polskiej Akademii Nauk. Obok niego brali udział: inż. Kazimierz Chomicz, lekarz dr Przemysław Czerski i prof. S. Zbigniew Różycki. Polska baza mieści się w miejscowości Cha-Pa, na terenie dawnej francuskiej stacji meteorologicznej. Grupa polska dokonała tam pomiarów i zdjęć magnetycznych; stacja, która zacznie działalność w roku 1957, będzie stacją radiosondażową i magnetyczną.

Wkład polski w badania Roku, choć ilościowo mniejszy od innych państw, jednak oparty o doświadczenia z lat dawniejszych i mający wybitnych uczonych do dyspozycji, na pewno wniesie niejedną nową cegiełkę do fantastycznie rozszerzającej się wiedzy o świecie.

Stefan Legeżyński

M E D Y C Y N A

NOWE LEKARSTWO NA CUKRZYCĘ

W nowojorskiej akademii nauk zanotowano odkrycie nowego lekarstwa przyjmowanego doustnie i podobno bardzo skutecznego przy leczeniu cukrzycy. Stwierdzono, że lek ten, który w bardzo nieznacznej mierze zawiera składniki lekarstw sulfamidowych, pozwolił w licznych wypadkach uniknąć leczenia cukrzycy przy pomocy zastrzyków insuliny, co było do tej pory jedyną skuteczną formą leczenia tej dolegliwości.

Nowe lekarstwo, zwane tolbutamide, odkryto w Niemczech jeszcze w roku 1954 a od listopada 1955 było ono wypróbowywane w różnych klinikach w Stanach Zjednoczonych. Jakkolwiek posiada ono pewne elementy sulfamidów, nie jest lekiem antybakteryjnym i nie powoduje skutków, wywoływanych przez stosowanie sulfamidów. Produkcję nowego leku podjęła w Stanach Zjednoczonych firma Upjohn Company w Meksyku Mich., która nazwała nowy lek „Orinase".

Dr Henryk Dolger ze szpitala Mount Sinai w New York City przeprowadził próby nowego leku na 700 pacjentach w okresach czasu do jednego roku. Stwierdził on, że w grupie pacjentów między 20 a 40 rokiem życia lekarstwo okazało się skuteczne u jednego pacjenta na trzech, w grupie od 40 lat wzwyż okazało się skuteczne u czterech pacjentów na pięciu. Natomiast u pacjentów młodszych skuteczność leku była bardzo mała, prawie równa zeru.

Około połowa pacjentów dr. Dolgera mogła zaprzestać zupełnie stosowania zastrzyków insuliny, nawet w wypadkach długiego trwania choroby, gdy potrzebne były duże dawki insuliny. W żadnym z obserwowanych wypadków nie stwierdzono też jakichkolwiek objawów zatrucia organizmu nowym lekiem.

W Stanach Zjednoczonych statystyki wykazują 1.600.000 wypadków cukrzycy, a każdego roku przybywa 65.000 nowych przypadków. Przewiduje się również, że 4.750.000 Amerykanów, żyjących obecnie, zachoruje na tę chorobę. Dzieci poniżej lat 15 stanowią zaledwie 5% wszystkich przypadków cukrzycy, natomiast 75% przypadków tej choroby dotyczy osób starszych, w wieku ponad 40 lat. Ta właśnie grupa starszych pacjentów najlepiej reaguje na leczenie przy pomocy nowego leku.

Sposób działania tolbutamidy jest podobnie tajemniczy i nieznany jak sposób działania insuliny. Dotychczasowe badania nasuwają kilka możliwości działania tego leku: zmniejsza on wydzielanie się w organizmie substancji niszczącej insulinę a zwanej insulinase, albo zwiększa proces wytwarzania i wydzielanie insuliny przez trzuskę, albo pobudza działanie insuliny, produkowanej przez organizm w ilości niewystarczającej albo też wstrzymuje procesy, skutkiem których cukier, znajdujący się w wątrobie, przedostaje się do systemu krwionośnego. Cukrzyca bowiem polega, jak wiadomo, na nadmiernej ilości cukru we krwi oraz w moczu.

GROŻNE SKUTKI

Zagadnienie, w jakim stopniu promieniowania atomowe i inne, niekiedy nawet w stosunkowo drobnych ilościach, działają szkodliwie na życie i zdrowie ludzi i innych istot żywych, oraz w jaki sposób tym skutkom zapobiegać — stało się w ostatnich czasach przedmiotem wytężonych dociekań uczonych. Jest to oczywiście aż nadto zrozumiałe w okresie, w którym energia atomowa ma się stać — niezależnie od swej roli niszczycielskiej w wypadku wojny — motorem przyszłej wytwórczości przemysłowej.

Grożne omylki. Widoczne jest już dzisiaj, że ludzie nauki mylili się do niedawna w niebezpieczny sposób przy ocenie skutków promieniowania atomowego i innego. Dotyczy to także promieni Röntgena, których oddziaływań nie doceniano przez długi czas. Tak np. jeszcze przed paru laty zdaniem fachowców maksymalna doza tygodniowa nie powinna była przekraczać 1,25 jednostek Roentgena — a dzisiaj zaledwie jedną dziesiątą części tej dozy uważa się za nieszkodliwą i nie nasuwającą wątpliwości. Jeśli u dzieci, które leczono na gruźlicę kości preparatem wydzielającym promienie, dziś, po latach, pojawiają się złośliwe guzy kostne, jest to grożne ostrzeżenie, jak ostrożnym należy być przy stosowaniu wszelkich promieniowań. Z nowszych doświadczeń wystarczy podkreślić, jak bardzo fachowcy mylili przy ocenie zasięgu działania bomb wodorowych.

Skutki po dziesiątkach lat. Oddziaływanie radioaktywne jest, jeśli chodzi o organizmy istot żywych, szczególnie podstępne przez to, że skutki objawiają się często dopiero po upływie dziesięcioleci. W wypadku np. kobiet, które malują cyfry świetlne wchłaniając przy pracy do swych organizmów tylko drobne ilości materiału radioaktywnego, mija często przeszło dwadzieścia lat, nim jako skutki tego oddziaływania pojawią się złośliwe guzy. Znamienne jest, że przed pojawieniem się tych symptomów chorobowych zachodzi bardzo często przerwa trwająca całe lata, podczas której osoby te nie miały już nic do czynienia z materiałami radioaktywnymi.

Stwierdzoną także rzeczą jest, że chroniczne poddawanie się promieniowaniu powoduje skrócenie życia. Według statystyk amerykańskich np., przewidywana długość życia radiologów jest o pięć lat krótsza niż u innych lekarzy.

Jakim promieniowaniom ulega organizm ludzki? Oddziaływania radioaktywne na organizm ludzki pochodzą częściowo z wszechświata, częściowo zaś źródłem ich są substancje skorupy ziemskiej. W ciągu trzydziestu lat promieniowanie to osiąga dozę, wynoszącą od 3 do 4,3 jednostek Röntgena. Doza ta jednak podwyższona zostaje całkiem pokaźnie przez zabiegi lekarskie, cyfry świetlne, aparaty telewizyjne i urządzenia przemysłowe. To podwyższenie wynosi wedle obliczeń angielskich ponad 30% wspomnianej dozy „naturalnej", wedle zaś szacowań amerykańskich jeszcze dużo więcej, bo prawie drugie tyle, przy czym jak dotąd urządzenia atomowe grają tylko niewielką rolę. Ta podwojona doza może nie być szkodliwa dla jednostki ludzkiej, natomiast stanowić może poważne niebezpieczeństwo dla jej potomstwa.

Dziedziczność i mutacje. Jest szczęśliwą okolicznością, że rozwój fizyki atomowej zbiegł się z odkryciami w dziedzinie nauki o dziedziczności, w szczególności z rozwojem teorii chromosomów i spontanicznych zmian w dziedzictwie, czyli tzw. mutacyj. Mutacje te w normalnych warunkach, byc może pod wpływem „naturalnego" promieniowania, zachodzą w pewnych okreslonych ilościach. One to stanowią, być może, szansę osiągnięcia przez naturę form doskonalszych od istniejących. Jednak zupełnie tylko wyjątkowo powodują one polepszenie się cech dziedzicznych — w olbrzymiej większości wypadkow zachodzi pogorszenie tych cech. Pogorszenie to może iśc tak daleko, że jednostka pochodząca z genów „zmutowanych", bywa całkiem niezdolna do życia.

I tu leży głowne niebezpieczeństwo oddziaływań radioaktywnych. Dodatkowa doza promieniowań powiększa ilość mutacyj i przez to zwiększa niebezpieczeństwo niekorzystnych zmian w dziedziczności.

Potwierdzają to doświadczenia, przeprowadzane w stosunku do świata zwierzęcego. Tak np. u pewnego gatunku much, które przy eksperymentach z zakresu dziedziczności odgrywają rolę „królików doświadczalnych", okazało się, że na 156 sztucznie wywołanych mutacyj okrągło sto z nich miało skutki wyraźnie szkodliwe, w pozostałych zaś wypadkach pochodzące z nich okazy także wykazywały zmniejszoną odporność życiową. Znacznie jeszcze gorsze wyniki dały doświadczenia przeprowadzone przez uczonych amerykańskich w laboratorium Oak Ridge, których obiektem było 100,000 mysz. Okazało się, że w wyniku zastosowanego wobec nich promieniowania wystąpiły mutacje dziesięciokrotnie liczniejsze niż w wypadku wspomnianych much. Niestety obawiać się należy, że u ludzi wrażliwość w tym kierunku jest równie silna, jeśli jeszcze nie silniejsza.

Dlatego należy bezwzględnie przestrzegać warunków, w których ilość mutacyj nie wykraczałaby poza dopuszczalną miarę. Nakazem moralnym staje się ogromna, nawet pozornie przesadna, ostrożność przy posługiwaniu się substancjami promieniotwórczymi. Nie należy się dziwić, że w niektórych krajach, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, ostatnio zaś także w Niemczech, mnożą się zwykle przesadne i oparte o nieznajomość rzeczy protesty mieszkańców miast i miejscowości, w pobliżu których budowane są zakłady atomowe i instalowane reaktory atomowe. Będą one miały w każdym razie ten dobry skutek, że przez wywieraną presję zmniejszą ryzyko jakiejś lekkomyślności czy niedostatecznych wysiłków w kierunku eliminacji wszelkiego zagrożenia. Jeden z wielkich dzienników niemieckich „Die Welt" wyraża pogląd, że, być może, w tych przynajmniej wypadkach, gdy niemożliwe jest stuprocentowe wyeliminowanie działań promieniowania na otoczenie w zakładach atomowych, dopuszczeni być powinni do pracy w nich tylko ludzie, którzy z całą pewnością nie oczekują już potomstwa.

Na razie badania nad wpływami promieniowania na organizm ludzki prowadzone są intensywnie dalej. Przodują w nich uczeni amerykańscy, ale i w Anglii są one daleko posunięte (przy czym wśród badaczy w laboratoriach brytyjskich znajdują się również Polacy). Spośród innych krajów zachodnioeuropejskich duże postępy poczyniły także Francja i Niemcy. Ostatnio czasopismo niemieckie „Medizinische Klinik" wydało specjalny zeszyt poświęcony niebezpieczeństwom promieniowania i ochronie przed nimi. Poprzednio już Lekarska Rada Badawcza w Wielkiej Brytanii ogłosiła sprawozdanie z wyników badań, zatytułowane: „Dzisiejsze zagrożenie człowieka przez promienie".

K S I Ą Ż K I

SAGA RODU KOSSAKÓW

Przed powrotem do Kraju Zofia Kossak skarżyła się nieraz na ciężkie warunki życia i twórczości na emigracji. A jednak lata jej pobytu poza Krajem przyniosły plon obfity: doskonałą powieść biblijną „Przymierze", zbiór pięknych bukolik prozą o ziemi ojczystej „Rok polski", nową wersję „Błogosławionej winy", pierwszy tom sagi rodu Kossaków*) pt. „Dziedzictwo", parę rzeczy drobniejszych, a także zaawansowane bruliony kilku dalszych powieści: biblijnej, o życiu królowej Jadwigi oraz drugą część sagi kossakowskiej pt. „Bracia".

Autorka zobowiązała się przed wyjazdem oddać do druku wydawcy na emigracji całą trylogię, a więc zarówno tom „Bracia", i trzeci, który ma być autobiografią powieściopisarki. Wydawnictwo Polskie Tern (Rybitwa) nie szczędziło trudów i kosztów, aby „Dziedzictwo" wydać najokazalej. Jest to jedna z najpiękniej wydanych na emigracji książek, niepotrzebnie tylko obciążona balastem katalogowo - propagandowym, oprawionym razem z powieścią. Zdobi ją 49 reprodukcji obrazów, portretów i szkiców, głównie Juliusza Kossaka, wykonanych techniką fotolitograficzną.

Treść książki doskonale harmonizuje z ilustracjami, stanowiąc wzór dla wydawców powieści historyczno-obyczajowych. Budzi ona żywe zainteresowanie jako nowe dzieło świetnej pisarki, a także jako temat: opowieść o sławnej w Polsce rodzinie artystycznej i o życiu emigracji polskiej przed stu laty.

Zofia Kossak jest niezrównaną pisarką tradycyjną. Posiada dar obrazowania, narracji, dialogu. Czego dotknie, zmienia to zaraz w prozę artystyczną. Można by rzec, że Zofia Kossak nie potrafi pisać w sposób nieartystyczny. Temat szczególnie bliski jej sercu opracowała z ogromną łatwością i zręcznością, jakby opowiadanie przy kominku. Nic dziwnego: sagę rodzinną piszą i podają sobie pokolenia. Autorka nadała jej tylko kształt artystyczny. Nie można się jednakże przy lekturze „Dziedzictwa" oprzeć wrażeniu, że nad powieścią zaciążył pośpiech, by przed wyjazdem dotrzymać umowy. Myśl o wyjeździe poza tym posłużyła autorce do rozrachunku z emigracją, do dialogu z nią, jak się to dziś określa. W rezultacie „Dziedzictwo" rozpada się na dwie nie wiążące się ze sobą warstwy: na opowieść o dziejach miłości Juliusza i Zofii oraz na obraz ostatnich lat emigracji polistopadowej, potraktowanej jako... satyra na emigrację obecną.

Opowieść o miłości Juliusza i Zofii można zaliczyć do najlepszych kart prozy Zofii Kossak. Znalazła się ona w swoim żywiole: w dworku szlacheckim z ubiegłego wieku. Wydarzenia dziejowe z tej perspektywy są prawie niewidoczne, mienią się tylko jak błyskawice na dalekich horyzontach. Dwór żyje dawnym, prawie niezmienionym życiem, odwiecznymi poglądami, ideałami i przesądami. Autorkę nie zajmują jednak „erga kai hemerai" ziemiaństwa, lecz sylwetki i charaktery rodziny Gałczeńskich. W środku tego historyczno-obyczajowego obrazu, pod najostrzejszym reflektorem pisarki, znalazły się trzy stare kobiety i sześć młodych dziewcząt przy codziennych zajęciach, radościach, troskach, pasjach i śmiesznostkach. Dwór poza tym pełen jest postaci i typów drugoplanowych: faktorów, ekonomów, gospodyń. Później na scenę wchodzi powracający z zesłania na Syberii Wojciech Gałczeński, z głową i sercem wypełnionymi ideałami demokratycznymi, a wreszcie i galicyjski malarz o wątpliwym szlachectwie Juliusz Kossak, biorący za żonę drugą córkę Gałczeńskich, Zofię, co w jej sferze uchodzi za niewybaczalny mezalians.

Najpiękniejszą częścią książki są sceny dworskie, a zwłaszcza opisy stadnin i zaiste kossakowskie rozmowy o koniach. Śliczny jest też opis podróży dyliżansem z Siąszyc podkaliskich do Paryża. Plastyką wyróżniają się sylwetki dwu generacji kobiet. Zofia Kossak okazała w tej powieści swój duży talent satyryczny. Słabiej natomiast wyszły portrety osób darzonych przez autorkę sympatią: Wojciecha Gałczeńskiego, Juliusza Kossaka, a także jego żony. Wszystko, co te postacie myślą i robią, jest zawsze „naj". Zdaje się też, że autorka przypisuje przesadnie wielką rolę dziadkowi w życiu kulturalnym, a nawet politycznym Polski połowy XIX wieku.

Zgrupowane wokół niego postacie: ks. Czartoryskiego, Mierosławskiego, Ordęgi, Norwida, Miłkowskiego, Goszczyńskiego, Lenartowicza, Zaleskiego mają państwu Kossakom służyć jako „dwór" emigracyjny, a w każdym razie jako tło dla geniuszu Juliusza. Niestety, zarówno galeria postaci emigracyjnych, jak i życie emigracji przedstawiła Zofia Kossak w „Dziedzictwie" płytko i nieprawdziwie. Ci ludzie nie mają zbyt wiele w powieści do powiedzenia, toteż mówiąc, plotą po prostu androny i banały. Poglądy polityczne Czartoryskiego są przez Zofię Kossak skarykaturowane. Natomiast rolę i znaczenie Mickiewicza w życiu tamtej emigracji autorka mocno przesadziła.

Galeria emigrantów i ich poglądy posłużyły Zofii Kossak do „dialogu" z obecną emigracją i jej przywódcami oraz do wypowiedzenia ostatniego słowa przed wyjazdem. Deklaracja ta nie wypadła przekonywująco, gdyż opiera się na ciasnym pragmatycznym argumencie niemożności bezpośredniego docierania twórczości emigracyjnej do ludzi w Kraju, a o słabości tłumaczenia się świadczy pomniejszanie i ośmieszanie nie tylko współczesnych emigrantów, ale i największych duchów emigracji polistopadowej, wedle dość osobliwego kryterium, że emigracje obniżają zdolności poprawnego rozumowania ideowego. Zwłaszcza ostry uraz opętał Kossakównę na tle „wodzów". Gdyby to chociaż było żarliwe lub namiętne, ale ideologia „Dziedzictwa" to zwykły „neopozytywizm", odżegnujący się od walki zbrojnej i poważniejszych ambicji narodowych.

Ale żądło przeciwemigracyjne, choć zakłóca harmonię pięknej powieści, nie burzy jej bynajmniej. Zbyt to dobra i mocna proza.

J. B.

*) Zofia Kossak **DZIEDZICTWO. JULIUSZ I ZOFIA.** Powieść historyczno-obyczajowa. Ilustracje Juliusza Kossaka. Wydawnictwo Polskie Tern (Rybitwa) Book, Londyn, bez daty (1956). Stron tekstu powieści 200, stron książki 240. Okładka płócienna ze złoceniami, obwoluta barwna z rysunkiem J. Kossaka, projektu R. Janiszewskiego.

S P O R T

POBICI NA WŁASNYM TERENIE

Ostatnio w Moskwie zakończyły się XXIII mistrzostwa świata w hokeju na lodzie. Choć były ciekawe, przeszły zupełnie niepostrzeżenie; prasa brytyjska nie zamieściła o nich nawet drobnej wzmianki. Nie startowały bowiem ani Kanada, ani Stany Zjednoczone; nie było Szwajcarii, Niemiec zachodnich... Bez nich turniej stracił na znaczeniu, a mistrzostwa stały się parodią mistrzostw.

Spośród państw, które stanęły do zawodów, jedynie Szwecja, Rosja i Czechosłowacja reprezentują w hokeju wysoką klasę, reszta uczestników turnieju moskiewskiego: Finlandia, Niemcy wschodnie, Polska, Austria, Japonia — są słabsze o kilka klas.

Mimo to jednak turniej miał swoje sensacje. Prawdziwą sensacją była porażka Moskwy na własnym lodowisku i zdobycie tytułu mistrza świata przez Szwecję. Przykrą sensacją dla nas było tak dalekie miejsce polskich hokeistów.

Rosja miała wszelkie dane, żeby wygrać w tym turnieju. Jest ona bądź co bądź ostatnim mistrzem olimpijskim (1956 r.), w Cortina d'Ampezzo zdystansowała takie drużyny jak: Kanadę, Stany Zjednoczone, Szwecję, Czechosłowację, do mistrzostw świata przygotowywała się długo na specjalnych obozach państwowych. Miała również dodatkowe niezmiernie ważne atuty, jak własne lodowiska i 50-tysięczną publiczność sowiecką. A jednak wygrali Szwedzi.

W czwartym dniu turnieju „zaprzyjaźniona" Czechosłowacja odebrała gospodarzom 1 punkt (wynik (2:2). Szwecja wygrywała swoje wszystkie spotkania, a według terminarza turnieju mecz Rosja — Szwecja przypadał na ostatni dzień mistrzostw. Ostatecznie obydwie te drużyny spotkały się na zakończenie mistrzostw. Rosja stanęła na lodzie ze straconym punktem, Szwecja nie zgubiła punktu. Wynik remisowy dawał mistrzostwo Szwedom. Rosjanie musieli ten mecz wygrać, by zdobyć tytuł mistrza.

Spotkanie miało przebieg dramatyczny i stało na wysokim poziomie. Końcowy wynik brzmiał 4:4 i tytuł mistrza świata powędrował do Szwecji.

W I tercji (2:0) Szwedzi zdobyli prowadzenie w 10 min. i drugą bramkę strzelili w 4 minuty później. Rosjanie grali nerwowo i nie mogli sobie poradzić z szybkim i twardym przeciwnikiem. W II tercji Rosjanie przeszli do generalnej ofensywy, Szwedzi bronili się rozpaczliwie, ale to niewiele pomogło. przegrali tercję 0:4. Publiczność szalała, była pewna zwycięstwa.

W III tercji Szwedzi postawili wszystko na jedną kartę, narzucili oszałamiające tempo. Rosjanie grali na utrzymanie wyniku... W 3 minucie Lindstroem (Szwecja) po pięknym zagraniu zespołowym, zdobył bramkę, a w 10 minucie 18-letni Matta (Szwecja) „włożył" krążek do siatki.

Przy nieustającym dopingu sowieckiej publiczności Rosjanie przeszli do ataku. Gra stała się bardzo ostra. Po jednym zawodniku z obu stron opuściło boisko. Na dwie minuty przed końcem Rosjanie wycofali bramkarza, wprowadzając na jego miejsce napastnika. Atakowali gwałtownie całą drużyną, ale Szwedzi bronili się skutecznie. Wynik 4:4 pozostał bez zmian. Ogromna radość zapanowała w drużynie szwedzkiej: ściskali się połamali wszystkie kije hokejowe... Sowieckie tłumy zamarły, a zwyciężeni — niedoszli mistrzowie świata — dopiero po 5 minutach złożyli Szwedom gratulacje.

Ostateczna tabela mistrzostw świata w hokeju

	punktów	bramek
1. Szwecja	13:1	62:11
2. Rosja	12:2	77:9
3. Czechosłowacja	11:3	66:9
4. Finlandia	8:6	28:30
5. Niemcy wschodnie	6:8	23:48
6 Polska	4:10	25:45
7. Austria	1:13	8:61
8. Japonia	1:13	11:64

Wyniki Polaków w Moskwie

Polska — Finlandia	3:5
Polska — Szwecja	3:8
Polska — Rosja	1:10
Polska — Niemcy wschodnie	2:6
Polska — Austria	5:1
Polska — Japonia	8:3
Polska — Czechosłowacja	3:12

Hokej na lodzie jest grą pochodzenia kanadyjskiego i nic w tym dziwnego, że hokeistów spod znaku „klonowego liścia" (Kanadyjczyków) nazywa się „Królami krążka". Technika jazdy, sposób operowania krążkiem, taktyka, szybkość, wspaniała kondycja, wykorzystanie każdej sytuacji podbramkowej — cechują hokeistów kandyjskch. To oni propagowali tę grę we wszystkich krajach, oni dysponują największą ilością doskonałych drużyn i trenerów. Z biegiem lat Europejczycy mocno się podciągnęli i walczą z Kanadyjczykami z coraz większymi sukcesami, a nawet zdołali im odebrać kilkakrotnie tytuł mistrza. (Patrz tabela.) Turnieje olimpijskie liczą się jako kolejne mistrzostwa świata.

Polska ma piękne tradycje hokejowe, lecz niestety w Moskwie Polacy zawiedli zupełnie. W okresie niepodległości postęp zaznaczał się pod tym względem milowymi krokami. Zaczęło się w ten sposób, że w hokeju na lodzie posługiwano się kijami do hokeja na trawie. Pierwszymi drużynami, które grały w hokeju były kluby warszawskie: Polonia, Warszawianka i AZS. Prawdziwy hokej datuje się jednak dopiero od roku 1926, kiedy dwóch polskich reemigrantów z Ameryki wstąpiło do AZS, który przez kilka lat następnych wsławiał imię Polski na lodowiskach Europy. Nazwiska Tupalskiego, Czaplickiego, Adamowskiego, Krygiera (mieszka obecnie w Londynie), Kuleja, Sachsa, Sokołowskiego, Kowalskiego, Stogowskiego („Stoga") — przeszły do historii naszego sportu.

Największy sukces w hokeju, sportowy i organizacyjny, odniosła Polska w roku 1931, kiedy to powierzono nam organizację mistrzostw świata w Krynicy. W finale Polska uległa „tylko" 0:3 Kanadzie, ze Stanami Zjednoczonymi przegrała 0:1, z Austrią (ówcześnie bardzo silną) 1:2, a wygrała z dzisiejszym mistrzem świata, Szwecją 2:0.

Dzięki tym sukcesom zajęła czwarte miejsce w świecie za Kanadą, Stanami Zjednoczonymi i Austrią.

Po wojnie Polacy nadążali za drużynami europejskimi, z mistrzami potrafili nawiązywać twardą walkę. W każdym razie pozostawiali za sobą Szwajcarię, Finlandię, Niemcy wschodnie... Dlatego to jest przykrą niespodzianką, że w Moskwie drużyna polska raziła brakiem przygotowania: że nie wytrzymywała tempa, była mało odporna psychicznie i fizycznie, że poszczególne formacje nie rozumiały się i gra nie szła im czysto: że Polacy mieli najwięcej minut karnych.

Następne mistrzostwa świata mają się odbyć w Oslo w roku 1958. Może obecna reorganizacja polskiego sportu wprowadzi naszych hokeistów z powrotem na dawną przynajmniej pozycję w Europie.

Mistrzowie i wicemistrzowie świata w hokeju:

Rok	Mistrz	Wicemistrz
1924	Kanada	Stany Zjedn.
1928	Kanada	Szwecja
1930	Kanada	Niemcy
1931	Kanada	Stany Zjedn.
1932	Kanada	Stany Zjedn.
1933	Stany Zjedn.	Kanada
1934	Kanada	Stany Zjedn.
1935	Kanada	Szwajcaria
1936	Anglia	Kanada
1937	Kanada	Anglia
1938	Kanada	Anglia
1939	Kanada	Stany Zjedn.
1947	Czechosłowacja	Szwecja
1948	Kanada	Czechosłowacja
1949	Czechosłowacja	Kanada
1950	Kanada	Stany Zjedn.
1951	Kanada	Szwecja
1952	Szwecja	Czechosłowacja
1954	Rosja	Kanada
1955	Kanada	Rosja
1956	Rosja	Stany Zjedn.
1957	Szwecja	Rosja

PO ŁEPKACH

ANTYSEMITYZM

JERZY TUROWICZ ogłosił w „Tygodniku Powszechnym" artykuł o antysemityzmie w Polsce, ktory podobno ostatnio przybrał na sile, zwłaszcza w „natolinskim", tj. stalinowskim skrzydle partii komunistycznej. Turowicz przypomina podstawowe prawdy nauki katolickiej, ktorych nie da się w żaden sposób pogodzić z antysemityzmem. Katolika obowiązuje miłość bliźniego bez względu na rasę, kolor skóry, narodowość, czy przekonania; antysemityzm jest nienawiścią do ludzi. Katolicyzm głosi równość wszystkich ludzi, antysemityzm dzieli ich na lepszych i gorszych, katolicyzm jest uniwersalny, antysemityzm szowinistyczny, nauka katolicka głosi personalizm, antysemityzm jest z nią w tym punkcie sprzeczny, gdyż obciąża ludzi odpowiedzialnością zbiorową za winy niepopełnione, a często urojone.

Wszystko to słuszne: katolicyzm nie da się pogodzić z antysemityzmem. Katolik-antysemita to po prostu zły katolik.

Ale Jerzy Turowicz, głosząc słuszną zasadę, uprościł zagadnienie. Wedle niego każdy pogląd o ujemnej roli Żydow w życiu Polski, każdy odruch przeciw nim, każda akcja antyżydowska podpada pod pojęcie antysemityzmu. W Polsce przedwrześniowej wpływom antysemityzmu — wedle Turowicza — „ulegała stosunkowo duża część społeczeństwa", a dopiero w czasie wojny, wobec masowych prześladowań Żydów przez hitleryzm, „antysemityzm jako kierunek programowo światopoglądowy został w Polsce przełamany". Wyolbrzymianie polskiego antysemityzmu jest jedną z największych szkód, jaką nam wyrządzają w świecie nie tylko nasi wrogowie, ale i sami Polacy zwalczający antysemityzm. W rzeczywistości bowiem był on w Polsce zjawiskiem nie tak znowu rozpowszechnionym, a w każdym razie w praktyce bardzo łagodnym. W okresie dwudziestolecia niepodległości Żydów nie prześladował ani żaden rząd polski, ani społeczeństwo. Żadnych pogromów w Polsce nie było, zdarzały się natomiast nieraz i gorszące zajścia przeciwżydowskie, czasem też odosobnione gwałty. Na wyższych uczelniach dochodziło często do demonstracji antyżydowskich, ale o prześladowaniach nie było mowy. W Warszawie i we Lwowie doszło, niestety, na terenie wyższych szkół do dwu czy trzech zabójstw studentów żydowskich w ciągu lat dwudziestu, ale nie można tego generalizować. Zdarzały się także zabójstwa polskich studentów z rąk Żydów, co prawda, poza terenem wyższych uczelni. Również „bicie Żydów", zresztą godne ubolewania, nie było praktyką ani częstą, ani powszechną. Najlepszy dowód, że Żydzi masowo studiowali i zdobywali wykształcenie akademickie w Polsce.

Problem żydowski w Polsce był jednakże bardzo trudny, drażniący i zaogniony. Społeczeństwo polskie było w swej masie Żydom niechętne i dążyło do stopniowego ich wyeliminowania z pozycji uprzywilejowanych w wielu zawodach, a także do częściowego wyparcia z Kraju. Tego stanowczo nie można określać mianem antysemityzmu, gdyż była to tylko słuszna polityka samoobrony narodowej przed mniejszością, wyraźnie odcinającą się od polskości i zasklepioną w swojej narodowej odrębności. Emigrację Żydów z Polski głosili nie tylko Polacy, ale i najlepsi Żydzi, mianowicie sjoniści.

Trzeba więc wyraźnie rozróżniać antysemityzm od polityki i postawy przeciwżydowskiej. Antysemityzm to hitleryzm, carskie pogromy i w pewnym okresie stalinizm. Również odbieranie praw Żydom, wypędzanie ich, podpalanie i mordowanie w dawniejszych wiekach. Natomiast niechęć do Żydów, zarówno polityczna, jak kulturalna czy ekonomiczna, jakże w Polsce uzasadniona, nie może być podciągana pod miano antysemityzmu. Polacy w ogromnej większości dążyli do rozwiązania sprawy zydowskiej w ramach prawa i wzajemnego zrozumienia położenia. Studenci maszerujący przez miasta z okrzykami i transparentami, domagający się wprowadzenia „numerus clausus" na pewnych wydziałach, to nie antysemici, ale patrioci polscy, którzy kochali bardziej swój naród niż odrębną mniejszość narodową w państwie. Kupcy i rzemieślnicy, prowadzący propagandę pierwszeństwa Polaków w tych dziedzinach, hasło „swój do swego", to także bynajmniej nie antysemici. Lekarze i prawnicy, domagający się ograniczenia liczby Żydów w ich zawodach (dochodzącej w Małopolsce i Królestwie do 80 procent), to także nie antysemici. Dziennikarze i filmowcy dążący do spolonizowania prasy i filmu to również nie hitlerowcy. Polska jako naród suwerenny miała dobre prawo do uprzywilejowania Polaków, a co najmniej do równości we własnym państwie z mniejszościami, a nawet do pewnych ograniczeń innych narodowości. Tak demokratyczny naród jak Anglicy, ileż to mają zastrzeżeń wobec swych nielicznych mniejszości! Także Żydzi w Anglii mają zamknięty dostęp do pewnych stanowisk. Doskonale rozumieją to zwłaszcza sami Żydzi, wprowadziwszy bardzo drastyczne ograniczenia dla Arabów w Izraelu.

Oczywiście, w konfliktach politycznych i gospodarczych trudno o sielankę. W Polsce rownież nie wszystko szło sprawiedliwie i po chrześcijańsku. Zdarzały się krzywdy, a nawet gwałty. Na dalszą metę jednakże obecność w Polsce trzech i pół miliona Żydów była nie do pomyślenia. Między narodami panują nieporozumienia i jawne spory, z czego jednak nie wynika, że każdego Włocha trzeba posądzać o zoologiczną nienawiść do każdego Francuza, albo Serba o takąż samą nienawiść do Chorwata, Węgra do Czecha, Irlandczyka do Anglika. Niechęć wynikająca ze sprzeczności interesów, to jeszcze nie zbrodnia i nie grzech, szczególnie gdy ma swoje podstawy. Nikogo więc te konflikty nie dziwią i nie gorszą. Jedynie tylko wokół konfliktu polsko-żydowskiego stworzono w świecie atmosferę bezprzykładnego skandalu, mimo że Żydom jako społeczności powodziło się w Polsce lepiej niż gdziekolwiek na świecie. Nie wymagano od nich nawet asymilacji.

Niechęć polską do Żydów w okresie dwudziestolecia można doskonale rozumieć ze stanowiska katolickiego. Nie była i nie jest to absolutnie postawa sprzeczna z nauką Kościoła. Doktryna katolicka, oparta na Objawieniu, uznaje stapnie w miłości. Kochać mamy wszystkich bliźnich, ale nie wszystkich jednakowo. Większa powinna być miłość własnego dziecka niż brata, brata niż przyjaciela, przyjaciela niż obcego, rodaka niż cudzoziemca. „Istnieje — pisze o. I. M. Bocheński, O.P. w „Szkicach etycznych" ścisły obowiązek większej miłości ku tym rzeczom i cechom, które zrządzeniem Opatrzności stały się naszym ściślejszym udziałem". Miłość własnego narodu jest suprema lex w zakresie społecznym. Polak ma bardziej kochać Polaka niż najbardziej nawet lojalnego Żyda, Niemca, czy Ukraińca. Stopniowanie miłości nie może być określane jako nienawiść.

Niechęć narodu do przywodcow komunistycznych, a zwłaszcza do personelu bezpieki, znanego z gorliwosci i splamionego potwornymi zbrodniami, jest usprawiedliwiona i uzasadniona. To nie Polacy winni są temu, że szczególnie gorliwymi służalcami Moskwy w Polsce byli (i są jeszcze) Żydzi. Najmniej jednak prawa do antysemityzmu mają polscy staliniści.

Gdybyśmy chcieli określić postawę Polaków wobec Żydów w okresie niepodległości i dzisiaj jako antysemityzm, tedy Żydów trzeba by ronocześnie w ogromnej większości oskarżyć o antypolonizm.

Polacy jako naród niechętni byli wprawdzie ogromnej masie Żydów w swoim państwie, ich wpływom i ich obcej duchowości, jednak Żydow jako ludzi, jako jednostki, Polacy raczej lubili. Wbrew rozpowszechnionemu mniemaniu, Polacy i Żydzi żyli się ze sobą w ciągu wiekow i po dziś dzień między tymi narodami istnieje wyrazna sympatia. Liczne jej dowody zbierali żołnierze polscy w Palestynie. Lud żydowski szczerze i z rozrzewnieniem wspomina Polskę, a prosty Polak, po staremu, hołduje przysłowiu: „jak bieda to do Żyda". W Anglii, w Ameryce i wszędzie w świecie przyjaźń polsko-żydowska jest trwała.

W szczególności wielką sympatię żywią Polacy dla odrodzonej ojczyzny Żydów — Izraela. Jako katolicy musimy jednak dbać o poszanowanie pamiątek chrześcijańskich w tym kraju, a co w Izraelu, niestety, regułą nie jest.

Wniosek z powyższego artykułu jest następujący: skończmy nareszcie z antysemityzmem i z gadaniem o antysemityzmie polskim. Wielu Żydów w świecie zadanie to, niestety, spełnia z przesadną gorliwością.

Jan Bielatowicz

TEATR GRUPY »PRO ARTE«

przy współdziałaniu Instytutu Polskiego Akcji Katolickiej w W. Brytanii przedstawia

PAUL CLAUDEL'A

„ZWIASTOWANIE"

misterium w czterech aktach

w nowym przekładzie O. Żeromskiej i Z. Wilczyńskiego. Inscenizacja i reżyseria: Olga Żeromska, scenografia: Jerzy Faczyński.

Przedstawienia odbędą się w **Twentieth Century Theatre**, 291 Westbourne Grove, W. 11 w dniach **13 i 15 kwietnia** (sobota i poniedziałek) o godz. 8 wiecz., oraz **14 kwietnia** Niedziela Palmowa) o godz. 4.30 i 8 wiecz.

Dojazd do teatru autobusami: 15 i 52; do ul. Westbourne Grove: 7, 27, 28, 31, 46. **Przedsprzedaż biletów** w cenie 3 szyl. do 7 szyl.: w Ognisku Polskim, w SPK i w Stow. Lotników Polskich.

TWÓRCZOŚĆ EMIGRACYJNA

MIECZYSŁAW LURCZYŃSKI

PROROK W DUFFLE COAT'CIE

NOWELA

3)

— Tak, znam — rzekł wreszcie głosem, na który wzruszenie narzuciło swój tłumik. — I właśnie dlatego... Dla mnie, jako dla artysty, była to jedyna droga wiodąca do ostrzeżenia całego świata przed grożącym mu niebezpieczeństwem. Przynajmniej... nie potrafiłem innej znaleźć.

Piszący odłożył pióro.

— Jakim niebezpieczeństwem? — spytał łagodnie przyciszonym głosem, jakim zwykło mówić się do szaleńców i dzieci.

— Uśmiercenia kultury Zachodu, unicestwienia jej przez zabicie wolności.

Mało przejęty tą wiadomością siedzący za biurkiem osobnik odchylił się w tył i znowu musnął ręką szczoteczkę wąsika.

— Nowina — rzekł z drwiną, lekkim uderzeniem dłoni przesuwając czapkę na tył głowy.

Twarze dozorców zakwitły uśmiechami. Dwu roześmiało się głośno. Hektyczny rumieniec na policzkach delikwenta powiększył się wyraźnie.

— Gdy Rzym padł — zaczął wyjaśniać z pośpiechem i niemal niezrozumiale, jak czyni to człowiek nie przyzwyczajony do tego, by go słuchano, — potrzeba było kilkuset lat, aby świat zdolny był do odnowy, do stworzenia renesansu. Lecz teraz jeśli pan, jeśli ja, jeśli Europa zachodnia a za nią świat zostaną unicestwione, odrodzenie już nie nastąpi. Przyjdzie kataklizm, pojmuje pan, który odmieni się w stałą nową formę bytowania, nie mającą nic wspólnego z obecnym humanizmem. Barbarzyńscy tryumfujący, uzbrojeni w nowoczesną broń, staną się nie do przezwyciężenia. Pokonanie Europy z jej chrystianizmem, czyli swobodą ludzkiego ducha gwarantującego jego godność, będzie początkiem lawiny, która zmiecie dotychczasowy postęp. Mój barbarzyński gest absurdalnością swą miał na celu zwrócić powszechną uwagę, iż ma się pod koniec humanistycznej koncepcji świata. I że należy wytworzyć w sobie siły oporu zdolne zaprzeczyć spenglerowskiej teorii zmierzchu.

Oświadczenie to, wypowiedziane szybko i niemal bełkotliwie, spowodowało ogłuszenie prowadzącego przesłuchanie strażnika, przekraczając jego pojęciowe ośrodki myślowe. Jeszcze bardziej przesunąwszy czapkę na tył głowy badający zatonął ufnym i zarazem obezwładnionym, bliskim otępienia, spojrzeniem w oczach proroka w duffle-coat'cie.

Dopiero po chwili wyraz nieufności wystąpił na twarz indagującego mieszając się z radosną falą oburzenia z racji zuchwałego sposobu dworowania z zasad prostego rozsądku.

— I tej całej apokalipsie miało przeszkodzić zniszczenie jednego obrazu? — spytał, lekkim uderzeniem dłoni w tył czapki przesuwając ją znowu na czoło.

Przytrzymany przełknął ślinę.

— W pewnym stopniu tak — rzekł zwolna, jakby objęty nagłą wątpliwością, czy słuszne jest wyjaśnianie motywów uczynku przed tego rodzaju audytorium. — Obraz ten należy do wartości cenionych przez cały świat i znany jest całemu światu. Sprawa sądowa, boć przecież musicie mi wytoczyć sprawę sądową, z konieczności zajmie się motywami kierującymi mym postępkiem. Wtedy, przed trybuną sędziowską, przed audytorium publicznym, w którym znajdą się i dziennikarze, powtórzyć zdołam me ostrzeżenie o niebezpieczeństwie zbliżającego się końca obecnej kultury. Będę miał prawo wołać o nowej fali Scytów chcącej w jednym pchnięciu swych nagromadzonych na stepie sił zalać cały świat. Powtórzę me wezwanie o zdobycie, o stworzenie sił, które by zdołały zachować i przekazać następnym pokoleniom największy dar, jaki umiała stworzyć myśl ludzka i serce człowieka. Ocalenie wolności, a więc ocalenie godności ludzkiej, jest celem mego działania. I jakkolwiek absurdalny wydawałby się mój czyn, zdoła on może zwrócić na słowa me uwagę ludzi. Może głos mój nie będzie głosem wołającego na puszczy.

Mówiący prostował się. Wypowiadane słowa nabierały charakteru i znaczenia, świadcząc o głębokim przeżyciu ich treści przez mówcę. Człowiek pozbywał się nieśmiałości, kanciastego, wzbudzającego nieufność sposobu bycia, śmieszności wreszcie, której jest się zawsze ofiarą, gdy się cierpi. Oczy świecące jasnym przenikającym światłem, kierował ku indagującemu, ku strażnikom, ku mnie. Była to przemiana całkowita, przekształcenie tak oczywiste i zupełne, iż przez chwilę miałem przed sobą kogoś zupełnie mi nieznanego i porywająco nowego.

Czerwone od krwi ręce oparły się o barierkę.

— Jak gdyby nie wystarczyło wychylającego się z mroku przerażenia śmierci — z trudem padały słowa, — jak gdyby nie wystarczyło powolnego niszczenia piękna zawartego w ciele i w duszy ludzkiej, jak gdyby nie wystarczyło tysięcy próżności, tysięcy pretensyj, tysięcy zakłamań skrytych w głębi nawet najlepszych z nas, jak gdyby nie wystarczyły istniejące zawsze, o ileż bardziej straszliwe, ciemność i przerażenie tajemne promieniujące od wszystkich rzeczy kryjących sobą niezgłębioną, nie do zapełnienia tajemnicę, trzeba nam jeszcze pomagać siłom dążącym do samozniszczenia ludzkości, samozniszczenia zawierającego w sobie całą ohydę naszego ograniczenia, naszej małości? Ślepota świata jest niepojęta!

Wargi mówiącego zacisnęły się boleśnie. Stojący, jakby ogarnięty nagłym uczuciem chłodu, zgarnął wokół siebie swój ciemny, trochę mniszy, duffle-coat. Stał się znowu śmiesznym, wzbudzającym nieufność osobnikiem o skomplikowanych, odbiegających od normalności odruchach.

Prowadzący indagację strażnik w zakłopotaniu, tarł ręką podbródek.

— Sądzę, że w tym wypadku nie ma celu podawać — rzekł po długim namyśle — powodów, dla których dokonano tego... niesłychanego uczynku. Z chwilą, gdy w grę nie wchodzi chęć kradzieży lub... niepoczytalność umysłowa... — zawahał się, rozważając dwa ostatnio wypowiedziane słowa — będzie właściwe pozostawić sądowi opinię co do motywów kierujących pana postępkiem.

Drzwi otworzyły się. Wszedł policjant.

— Dzień dobry — rzekł. — Co się stało?

— Kłótnia między dwoma malarzami o modelkę — rzekł z iście francuskim poczuciem dowcipu jeden ze strażników.

KONIEC

MIECZYSŁAW PASZKIEWICZ

PÓŹNA MIŁOŚĆ

nielubiani przez bogów i ludzi
poeci głupiego wieku
na nietrwałym papierze
zapisujemy nasze głody

doświadczenie poucza
że śmiech głupca
wart jest więcej
niż półuśmiech słabego
dlatego zamiast wyznań
przynosimy obawy
przypuszczenia aluzje

czego chcesz ode mnie
czego ode mnie chcesz
powtarzamy pisząc
dwuznaczne epitafia

na mapach oceanów
wznosimy bramy
ze sztucznego marmuru
i czerwonym ołówkiem
tędy! tędy!
wskazujemy wątpliwy
szlak nasz

ale delfiny i ptaki
omijają
groteskowy gościniec
fale drwią zeń
a my sami
pożegnalni i wczorajsi
stronimy od niego na codzień

nawet wy
kamienie napojone światłem
opuszczacie zarażony półwysep

dziurawe są
sieci naszych zaklęć
i bezpłodna
pełna ale
późna miłość

wrzesień 1955

Mieczysław Paszkiewicz

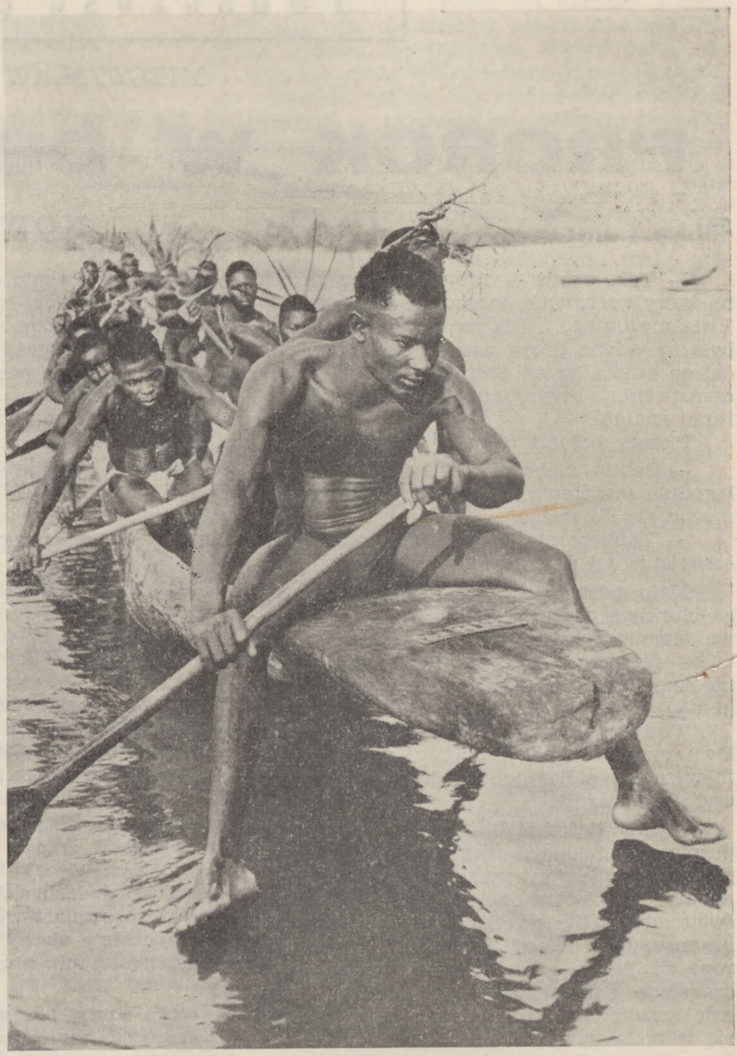
LUDZIE I ZDARZENIA

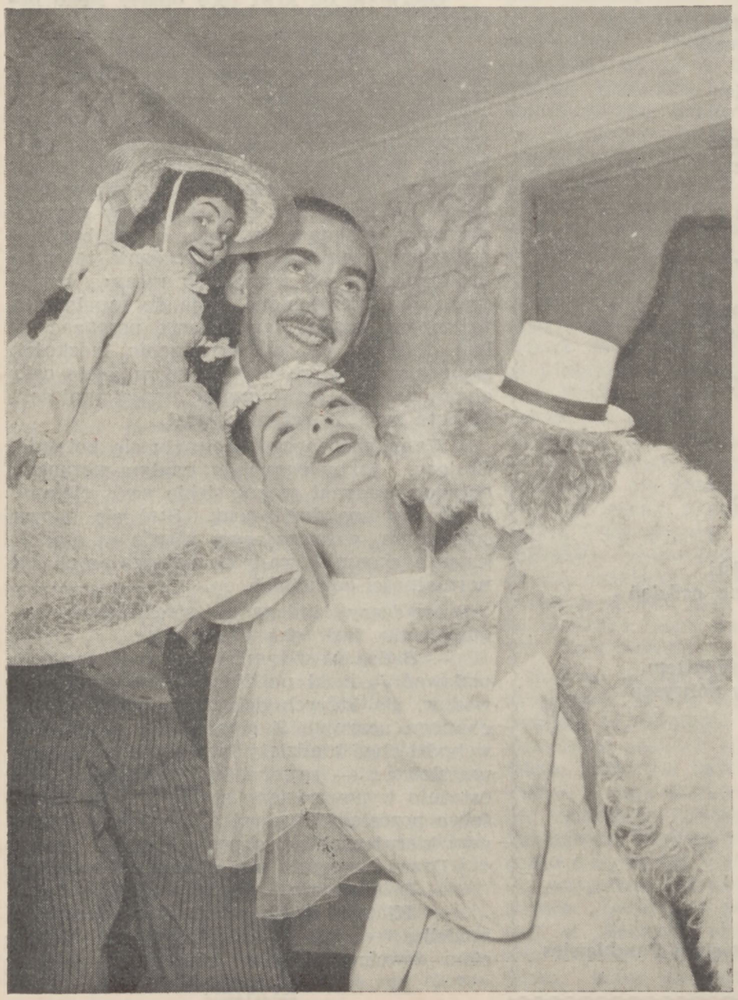
Włodzimierz d'Ormesson, były długoletni ambasador Francji przy Watykanie przyjęty został oficjalnie do Akademii Francuskiej. Przyjęcie takie odbywa się w ramach specjalnego, uroczystego posiedzenia Akademii i stanowi zazwyczaj duże wydarzenie kulturalne Paryża i Francji. Tym razem wielka kariera dyplomatyczna i rozległe stosunki europejskie nowego akademika przydały jeszcze splendoru jego wstąpieniu „pod kopułę". Asystowali przy nim: kardynał-prymas Feltin, były minister i twórca planów europejskiej wspólnoty Robert Schumann, członkowie korpusu dyplomatycznego z nuncjuszem apostolskim i ambasadorami W. Brytanii i Belgii na czele oraz bardzo liczni przedstawiciele świata nauki, literatury i sztuki (sztukę filmową reprezentowała Ingrid Bergman). „Ojcami chrzestnymi" byli: kardynał Grente i esseista Jacques de Lacretelle. Zgodnie z obowiązującą tradycją, Włodzimierz d'Ormesson, przybrany w słynny zielony frak, odczytał swe pierwsze akademickie przemówienie na cześć zmarłego członka Akademii, po którym odziedziczył fotell. Był nim Paweł Claudel, również przez pewien okres ambasador Francji. Nowemu akademikowi odpowiedział imieniem „Nieśmiertelnych" znany komentator Historii Świętej i historii Kościoła, Daniel Rops. Obecnym przedstawicielom prasy podobało się specjalnie to, że podkreślił on w swym powitaniu osiągnięcia Włodzimierza d'Ormessona jako dziennikarza, który od 20 z górą lat zamieszcza swe artykuły na łamach paryskiego „Figara".

✶

Wioślarze na rzece Ubangi, w Kongo Belgijskim przystąpili do intensywnego treningu przed dorocznym wyścigiem, w którym udział wezmą liczne załogi sąsiadujących szczepów. Wynik zależeć będzie nie tylko od sprawności wioślarzy, ale również od indywidualnych zalet każdej z drążonych ręcznie, w jednym pniu, łodzi. Uwaga, Cambridge!

✶





Brzuchomówca Saveen, znany publiczności londyńskich teatrów, music-hallu i telewizji, wziął tej wiosny czynny udział w przedbudżetowym „wyścigu do ołtarza": ślub odbył się w katolickim kościele pod wezwaniem Angielskich Męczenników, z piękną modelką Edwiną Lee. Zdjęcie nasze przedstawia młodą parę w towarzystwie „najmłodrzejszej" z mówiących lalek Saveena oraz mówiącego (żywego) psa, Micki.

✶

600.000 Portorikanów mieszka obecnie w Nowym Jorku, co stanowi 7% ludności tego miasta. Statystycy przewidują, że w ciągu następnych pięciu lat przybywać będzie do Nowego Jorku około tysiąca imigrantów portorikańskich tygodniowo. Mieszkańcy Porto-Rico są obywatelami Stanów Zjednoczonych, większość z nich zna jednak tylko język hiszpański i nie posiada żadnego wykształcenia ani umiejętności zawodowej. Stanowią też oni 27 proc. nowojorskich bezrobotnych. Mieszkają w warunkach nieprawdopodobnego prymitywu i nędzy na najbiedniejszych przedmieściach tego miasta wielkich kontrastów.

✶

Dyplom manekina, ustanowiony został oficjalnie dekretem ministerialnym we Włoszech. Aby go otrzymać, kandydatki obowiązane będą przejść roczny kurs, na który przyjmować je będzie komisja złożona z przedstawicieli najpoważniejszych domów mody modelek-ekspertów oraz wyspecjalizowanych w modzie fotografów i rysowników. Włoskie ministerstwo pracy zdecydowało się na wprowadzenie tych warunków na żądanie syndykatu modelek.

✶

„Historia ZSRR", oto nazwa nowego tygodnika sowieckiego, który zaczyna ukazywać się w Moskwie. Ma to być pismo poświęcone wszelkim zagadnieniom historycznym, od starożytności po lata ostatnie. Według zapowiedzi moskiewskiej „Literackiej Gazety", w każdym numerze tego nowego przeglądu znajdzie się artykuł poświęcony życiu i społeczeństwu sowieckiemu.

Printed by Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734.